Nr. 17 (1113). Warszawa, dnia 13 (26) Kwietnia 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Przyszłość Belgii.

Wypadki, które przez dwa tygodnie wstrząsały Belgią, obudzają myśli daleko sięgające po za dobę dzisiejszą i stawiane w niej zagadnienia równowagi, porządku i spokoju, każdemu organizmowi do życia niezbędnych. Które ostatecznie stronnictwo zwycięży; na jakie ciężkie porody skazana jest teraźniejszość, zanim wyda z siebie jutro, zdolne zjednoczyć już wszystkich w poczuciu wspólnie przez wszystkich posiadanego dobra? I czy to dobro, dla wszystkich bezwzględne, wszystkim bezwzględnie drogie, da się jeszcze rozpalić jako ideał, ująć, ustalić i obronić jako rzeczywistość, uznawanej i szanowanej organizacyi społeczno-politycznej? Te pytania tak blizkie, tak z łona wypadków własną swą siłą wybuchające — są tylko przednią strażą innej, wielkiej, na przyszłość Belgii nacierającej wątpliwości: czy siła narodowości w społeczeństwie belgijskiem urobi je w naród, a okoliczności zewnętrzne pozwolą temu narodowi rozwinąć się w prawdziwie silne, narodowe państwo — w takie państwo, jakie na początku XVII w. zaprowadzili u siebie północni bracia Belgów dzisiejszych, Holendrzy?

Małe społeczeństwa, zażywające wolności, a nie oddane tylko wyłącznie gospodarstwu przemysłowo-pieniężnemu i namiętnościom municypalnym czy gminnym— stają się niejako doświadczalniami politycznemi, stacyami naukowemi i publicystycznemi do dostrzegania zjawisk życia człowieka w gromadzie. Tam najczęściej wystrzeli jakaś myśl nowa, a jeżeli nie myśl, to instytucya ją urzeczywistniająca; tam jaśniej, niż w wielkich, bardziej złożonych, przez samą swą masę, trudniej obejmować i ujmować się dających zbiorowościach dostrzegać można przemianę i postęp idei przewodnich w społeczeństwie; tam też zacięciej a dla oka wyraziściej walczą z sobą interesa wewnętrzne, bo kształtowania się ich nie zakłóca i nie podtrzymuje interes polityki współzawodniczącej z innymi, opędzającej się silniejszemu, wydzierającej słabszemu, zmuszonej w tem wiecznie wzburzonem i zawsze mętnem morzu bytu międzynarodowego żerować i żeru od napaści bronić, aby żyć. Kto nie ma polityki, ten nie ma wprawdzie jej podnieceń, uroków i pożytków, ale nie ma też i jej niebezpieczeństw i gnębiącego wpływu; życie wewnętrzne swobodniej rozwijać się w nim może.

Instytucye polityczne nowe, nową myślą natchnione, w państwach małych powstają z większą swobodą i w większej wytwórczości, niż w wielkich. Mała, ośmieszana Portugalia pierwsza zapewniła w głosowaniu i wyborach przedstawienniczych prawo mniejszościom; Szwajcarya wzbogaciła demokracyę nowożytną zasadą odwoływania się do ludu — *referendum*; Belgia wreszcie wprowadziła głos wielokrotny, niezależnie od interesów stronniczych dla samej teoryi politycznej nadzwyczaj zajmujący. To, co się teraz w Belgii spełniło, a było tylko nowym nawrotem dawniejszej już fali, przedstawia dla myślącego, czynnego umysłu niezwykle ważny przedmiot spostrzeżeń i dociekań, nie *in anima vili*, ale na życiu, na żywym organizmie zbiorowości ludzkiej dokonywanych. Ale nic żyje się jako przedmiot dla kogoś do czegoś,—żyje się dla siebie; doświadczenia, które się na sobie robi, są zarazem krokami błędu lub prawdy na tej drodze, którą życie samo postępuje. W każdej chwili dzisiejszej utajona jest przyszłość, a zadaniem samowiedzy jest jej dostrzeganie i uświadamianie dla wszystkich. Samowiedza belgijska w tym momencie dziejów, który się przed oczyma naszemi roztacza, ma przed sobą, zadanie bolesne może dla serc, ale nie trudne dla rozumów. W Belgii walczą z sobą teraz dwa narody: naród zachowawców, oparty już o tradycye i przywileje wieku XVI, i naród postępowców, dążący do wytworzonej nowej, zupełnie od historyzmu oderwanej podstawy bytu dla samego siebie. Każdy z nich o sobie tylko myśli.

Gdzie są dwa takie narody z sobą walczące, sobie zupełnie obce, w uczuciach i dążnościach całkiem już sobie wrogie — tam niema miejsca na naród trzeci, naród istotny, któryby wszelkie przeciwieństwa, sprzeczności, antinomie i antytezy, spory i walki w sobie chłonął i, dając wszystkim jeden wspólny widnokrąg, jednem też wspólnem sklepieniem, wolą wspólnego a nieskończonego bytu, ich ogarniał. Przeciwnie, walka obu zawziętych na siebie stronnictw wykazała momenty rozstroju i nawet rozkładu samowiedzy narodowej, dla przyszłości kraju wręcz już groźne. Cywilizacya francuska stronnictwo postępowe pcha w objęcia Francyi; żywioł flamandzki nie czuje dawnej wspólności rodowej z Holandyą. Obie części historycznej całości, Niderlandów, przez geograficzne położenie swoje przeznaczone są na to, aby się stać celem pożądliwości trzech wielkich sąsiadów i zarazem jabłkiem niezgody pomiędzy nimi: Anglia nie da Francuzom Antwerpii, którą Napoleon przeciwko niej urządzał i obwarowywał; Niemcy nie pozwolą nikomu zabrać ujść Renu, a same zaokrąglić się niemi mogą jak najłatwiej; Francya wreszcie, mająca już część Flandryi i pamięć tak niedawnego jeszcze posiadania ca-

łej niziny nadreńskiej, ogromny swój cywilizacyjny podbój pragnęłaby wzbogacić i terytoryalnym. To są niebezpieczeństwa, którym sprostać, z któremi choćby tylko zmierzyć się, może jedynie naród, choćby nieliczny, ale silną narodowością płonący. Daleką jest od takiego ideału Belgia, zdolniejszą do urzeczywistnienia go Holandya. Może dopiero w powrocie do stanu z przed r. 1830, w połączeniu się północy z południem znalazłby się i ów trzeci naród, którego napróżno byłoby szukać w dzisiejszej Belgii. Upadek monarchii holenderskiej, tak już niedaleki — może wreszcie wywoła jaką siłę spajającą, niezbędną do spełnienia obowiązków dziejowych. Ta tylko siła zdoła przyszłość Belgii zapewnić.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Układy Boerów z Anglikami weszły w nowy okres: wybadywania woli już nie wodzów i przewódców, ale samego ludu boerskiego. W Pretoryi, gdzie wiadomi już przewodnicy polityczni odbywali przed 10 dniami narady z Milnerem jako statystą i Kitchenerem jako wodzem, nikt już nie zasiada przy stole narad, który Anglicy odrazu czarnem suknem nakryli: niema mowy o niepodległości, o prawach, o umowach jako węzłach obustronnych; może być tylko względność, a raczej większa—lub mniejsza surowość dla poddanych, bo podbitych. Na tem stanowisku trzymają się Anglicy i w Pretoryi, i w Westminsterze, i w parlamencie, i w rządzie, i w prasie. Według dzienników angielskich, Boerowie żądali amnestyi powszechnej, przejęcia długów państwowych, powrotu z wygnania dla wodzów po ściśle oznaczonym terminie, zapomóg na odbudowanie farm, utrzymania praw cywilnych i karnych, i języka holenderskiego miejscowego (taal) w sądach i szkołach. Wreszcie dzielność ich domaga się uznania obu krajów, nie za „podbite,“ ale za „wcielone.“

Anglicy nie chcą nawet odwołać proskrypcyi kiczenerowskiej, bezterminowej. Może odbudują te farmy, które jawnie, nie w boju, ale w umyślnem, niegodziwem okrucieństwie poburzyli; może zostawią język w sądzie i szkole; może wreszcie, przy jakiejś wielkiej uroczystości narodowej — ułaskawią ludzi najmniej znaczących imieniem i indywidualnością, resztę żądań uniesie prąd chciwości wielkopaństwowej i nienawiści, mającej już tak jaskrawą historyę. Obecnie delegaci Boerów wybadują nieliczne już obozy—jak giną? czy z pomocą atramentu zbiorowo, czy też z lepszą pomocą krwi, indywidualnie, dopóki każdemu z osobna ducha starczy. Nie mają już i środków do walki, nawet głód w rozpoczynającej się zimie cierpieć będą. Organizm nie odkłada już plazmy wojennej. Walka zbliża się do końca, ale koniec ten nie wymaga dla siebie układów z Anglikami. Byłby to zawsze akt niemocy, mroczący tak jasny obraz siły, zamkniętej w poczuciu siebie woli istnienia i bezprzykładnej prawie dzielności bojowej.

W Belgii rozruchy, zaprawione krwią, trwały jeszcze w przeszłym tygodniu. Podnieciła je uchwała Izby dep. z d. 18 b. m., odrzucająca 84 gł. przeciw 64 rewizyę konstytucyi dla wprowadzenia głosowania powszechnego. Przewódcy, utraciwszy władzę nad ludem, zaczęli ją w tym tygodniu odzyskiwać, a roztropne ich upomnienia powstrzymały w kilku wielkich ogniskach przemysłowych sam ruch. Spokój też zwolna powraca, w samej zwłaszcza Brukselli.

Rząd bulgarski broni się urzędownie od zarzutów bezczynności rozmyślnej wobec wrzenia Macedończyków. Policya ma na oku wszystkich podejrzanych o zamiar przekroczenia zbrojnego granicy tureckiej. Tak schwytała już Stojanowa i Sajewa. Łatwiej byłoby jej chwytać całe bandy niż jednostki, a to, że dotychczas straż pograniczna żadnej bandy nie pochwyciła, dowodzi, że żadnej też niema: dowód kruchy. Niewątpliwie notę wycisnęła na rządzie bulgarskim dyplomacya. Ruch w umysłach jest tylko niezgoda z Serbią — kłótnia o Firmiliana, przytępia jego ostrze na Turcyę skierowane. W Albanii nieco ciszej niż przed dwoma tygodniami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KARTEL KARTELI.

I.

W życiu ekonomicznem Niemiec odegrała się zabawna komedya. Wobec tego, że wróble na dachach opowiadały już sobie o swawoli karteli, że ogół spożywców, jęcząc pod ich jarzmem, błagał oddawna władzę o pomoc, a prasa i parlament domagały się energicznie ukrócenia środkami prawnymi jawnego i krzyczącego wyzysku, rząd niemiecki odważył się nareszcie rozesłać do naczelnych prezydentów prowincyj kwestyonaryusz, dotyczący stanu, organizacyi i działalności karteli, prosząc o możliwie dokładną i szczerą odpowiedź na zasadzie informacyj, których zaczerpną bezpośrednio z własnych aktów. Ministeryum nakazało nie sięgać głębiej, aby, jak wyraźnie zaznaczyło, nie niepokoić sfer odpowiednich. Krok ten, co najmniej połowiczny, a w każdym razie uderzający dziwną delikatnością i względnością, oburzył jednak do głębi duszy wodzirejów i magnatów karteli. Ta chęć zajrzenia im chociażby przelotnie do kart wydała się tak niesłychanym zamachem na święte prawa wyzysku monopolowego, że postanowili natychmiast utworzyć wielką, w dziejach ludzkości nieznaną organizacyę, obejmującą wszystkie jawne i tajone syndykaty niemieckie. Powstaje tedy „kartel karteli.“ Już niezwykłość tego wyrazu świadczy dostatecznie o charakterze i sympatycznie zapowiadającej się przyszłości instytucyi. Stoimy na początku nowej ery rozwojowej nietyle samych związków przedsiębiorców, ile przemysłu wogóle. Historya przemysłowa bowiem ostatnich lat dwudziestu jest historyą karteli. Czynniki postępowe, rozkładowe i wybuchowe, tkwiące w ich organizacyi i pobudkach kierowników, wycisnęły swe piętno na stanie całej współczesnej produkcyi wielkiej i jej przebiegu rozwojowym. Reforma zaś strategiczna karteli jest wyrazem wrogiego obecnie stosunku pomiędzy społeczeństwem wyzyskiwanem i poniewieranem a organizacyami monopolu i apetytu przemysłowego. „Kartel karteli“ nosi charakter wsteczny, gdyż ma stać na straży instytucyj, które straciły do szczętu racyę bytu i wskutek tego stały się tamą dla rozwoju społecznego. Historya syndykatów jest, że się tak wyrażę, historyą rozczarowań, a „kartel nad kartelami“ cynicznem przyznaniem tego faktu. Najlepiej zrozumiemy powody naprężonych stosunków pomiędzy społeczeństwem a związkami przedsiębiorców, gdy rzucimy spojrzenie naprzód na ich stan i organizacyę, powtóre na pokładane w nich nadzieje, wreszcie dając obraz rozczarowań, o które przyprawiły naukę ekonomiczną.

Kartele są nieodrodnemi dziećmi okresu konkurencyi wolnej. W miarę tego, jak z areny przemysłowej znikali pobici na głowę pigmeje, technika wojny współzawodniczej przyjmowała coraz ostrzejsze formy, a wraz z tem ilość zapaśników malała. Otóż te dwie okoliczności stworzyły grunt dla polityki sojuszów przemysłowych. Porozumienie było łatwiejsze, wróżyło więcej korzyści, niż walka bratobójcza, prowadzona z okrucieństwem przez potężnych władców przemysłowych. Wprawdzie instynkty, wyhodowane w sferze nieograniczonego współzawodnictwa, zazdrość wzajemna i tradycya anarchii wroga wszelkiej

---

17)

M. Grossek.

SERCE.

Ale na to niema żadnej rady! Musi tak postąpić! Tej ofiary wymaga od niego dobre imię. Zresztą nie jest to nawet ofiara: zbrzydził ją sobie, stracił do niej serce i nabrał fizycznego wstrętu... nie mógłby już żyć z nią, jak z żoną. Nie, aptekę sprzeda, odda jej połowę wartości, jako jej wiano i niech sobie w świat idzie, gdzie sama zechce. Dzieci odeśle na Litwę...

. . . .

Może to sobie być czyn nawet bohaterski i za wysoki na jego pospolity umysł!...

A po kiego licha jemu żona bohaterka! Niech ją sobie za to podziwiają i wielbią inni, ale mąż?... męża ona zdradziła! i mąż za żonę już jej nie chce. Gdyby to nawet zrobiła dla uratowania całego świata, a nie jednego sfiksowanego hebesa! Serce nie tego kocha, kto się poświęci dla zbawienia całego świata—ale tego, kto cały świat dla niego jednego poświęci.

. . . .

Niechby mu była zmarnowała cały majątek, rozdała wszystko, jak to ona lubi, dom spaliła, dzieci pomordowała. Wszystko by jej przebaczył! Łajałby ją, śmiejąc się do niej oczami, płakałby może, myśląc, że zwaryowała. Ale to?—ale to? Nigdy!...

. . . .

— Tak, prawda — podjął teraz ksiądz Dyonizy — dla mężczyzny niczem niezrównany powab i nioceniona wartość ma tylko ta kobieta, która do niego jednego jedynego w życiu należała. Francuz inaczej może czuje... *Gaie, gentille coquette, bien habillée, bien taillée, passionnée, amante spirituelle* są to najwyższe pochwały w ustach Daudeta, Coppego, Bourgeta, Maupassanta i innych, którzy malując swych rodaków, reprezentują ich też niewątpliwie. Ale Polak odda te wszystkie zalety z dodatkiem wielu innych, wyższych, naprawdę wartościowych i szlachetniejszego pokroju za jeden ten wdzięk „nietknięta.“ „Nietknięta“ jest piękniejszą od pięknych, mędrszą od mądrych, lepszą od świętych. Ona jedna ma u nas kult prawdziwy. Kochanka może jeszcze liczyć na pobłażliwość mężczyzny, ale żona, kapłanka domowej hestyi, matka jego dzieci, wspólniczka całego materyalnego dorobku, dostojeństw i zasług, *alter ego* społeczne, nosicielka nazwiska jego pradziadów—ona!—musi już być „nietknięta.“ Ten fetysz rodzinny, częstokroć zły, brzydki, głupi i śmieszny, zdradzany zresztą dla pokątnych miłostek, za swoją „nietykalność“ jest bóstwem domowem. Rękę jego ze czcią całują jak relikwiarz i zginają przed nim głowy i kolana wszyscy mężczyźni jednego rodu, gotowi bić się z całym światem o wyrządzoną temu fetyszowi obrazę. Charakter i obyczaj narodowy, chrystyanizm, który nas przejął do szpiku kości, więcej niż wszystkich *trés chrétiens* Francuzów i Hiszpanów, nasza tradycya i poezya wykształciły w nas taki ideał. — Kobieta może sięgać po inne laury, nawet cnót ogólno-ludzkich, pod warunkiem tylko, że z tego piedestału nie zejdzie.

dyscyplinie sprzeciwiały się z początku nowemu systemowi łączności i solidarności.

Lecz przedewszystkiem okres kokurencyi wolnej stworzył instytucyę, którą apostołowie przymierzy przemysłowych mogli stawiać za wzór karności. Można było powołać się na akcyonaryusza, który, poskromiwszy w sobie wybryki niepodległości, zadawalał się skromną rolą ptaka niebieskiego, co to ani orze, ani sieje, a jednak żyje i to wcale nieźle! Dalej, z nastaniem nowoczesnej epidemii celnej, z listy współzawodników zawodowych ubyli konkurenci zagraniczni. Pozostało małe, ale wybrane kółko zakładów, które rząd niemiecki zaprosił do uczty celnej, każąc im żyć i używać. Wszelkie swary należało odłożyć na bok. W tym to właśnie okresie od r. 1879 ukazują się pierwsze związki przedsiebiorców. Z wzrastającym rozkwitem przemysłu mnożą się nowe instytucye. W 1885 r. liczą już Niemcy 90 karteli, a w 1890 r. — 210! Zwłaszcza łatwo dały się przezwyciężyć antagonizmy i popędy indywidualistyczne w tych gałęziach przemysłu, gdzie panuje pewna jednostajność wyrobów i produkcyi, gdzie mniej punktów spornych przeszkadzało porozumieniu. Materyały surowe i pomocnicze oraz półfabrykaty jak: węgiel kamienny, żelazo, miedź, szyny, chemikalia, cukier, nafta itd. nadawały się głównie do zakładania instytucyj zwanych kartelami lub syndykatami. Są to instytucye stałe, w przeciwieństwie do t. zw. ringów lub cornerów, zawiązywanych dorywczo dla zysków przejściowych, spekulacyjnych. Od trustów zaś różnią się tem, że tłumią do szczętu inicyatywę pojedynczego zakładu lub przedsiebiorcy.

Nie mogą zaś tego uczynić przedewszystkiem na niższych, początkowych stopniach rozwoju, gdzie stawiają sobie tylko luźne i szczupłe cele. Dopiero z biegiem czasu, przekonawszy się, że rola biernego, bezczynnego trutnia opłaca się doskonale, przedsiebiorca pojedynczy zaczyna kwitować krok za krokiem ze swej samoistności i niepodległości. Wówczas powstają wyższe formy kartelu, które jeden krok tylko oddziela od trustów.

Z punktu widzenia swego celu kartele te przedstawiają dwa rodzaje i stopniowania zjednoczeń. Naprzód napotykamy syndykaty, których więź opiera się na solidarności ich interesów, jako *kupujących*. Ta spójnia nie zacieśnia zbyt mocnych węzłów pomiędzy oddzielnymi zakładami przemysłowymi, ani nie ogranicza zbytnio pola ich inicyatywy. Czynią to dopiero syndykaty drugiego rodzaju, gdzie przedsiebiorcy łączą się jako sprzedawcy przeciwko swej klienteli.

W pierwszym wypadku kartele występują bądź przeciwko swemu personelowi pracującemu, bądź przeciw dostawcom środków pomocniczych i materyału. W stosunku do swych podwładnych syndykaty, założone w tym specyalnym celu, ustanawiają jednostajną płacę roboczą, w razie strejków bojkotują oponentów, a niekiedy, solidaryzując się ze swymi kolegami kartelowymi, nie przyjmują dusz rogatych, zaregestrowanych w „czarnych listach“ kartelu. Weszły zwłaszcza w modę kartele antystrejkowe, których zadanie wyraźnie jest scharakteryzowane w terminie powyższym.

W tych wypadkach, kiedy syndykaty pierwszego rodzaju (*kupujących*) skierowane są przeciwko dostawcom zakładów przemysłowych, taktyka obronno-zaczepna polega na rozmaitych środkach. Fabryki bądź umawiają się co do ceny maksymalnej artykułów nabywanych, bądź robią zakupy hurtowne jedynie za pośrednictwem wspólnego biura wspólnego, lub też w ostatecznym razie bojkotują swych dostawców, zaprowadzając własną fabrykacyę artykułu dotychczas kupowanego. Powiedzieliśmy: „w ostatecznym razie,“ gdyż jak to pokazują zajścia lat ostatnich, chęć wyzwolenia się z pod zależności dostawcy-kupca lub producenta— powoduje często powstanie kartelu po stronie przeciwnej, t. zw. Gegenkartell. Ponieważ rugowanie pośrednika handlowego i dążność do uszczuplenia czynności nabywczych leży wprost w naturze obecnego rozwoju handlowo-przemysłowego, więc też kartele tego rodzaju odgrywają większą, aniżeli można było przypuszczać, rolę. Zasługują one właśnie na uwagę z tego względu, że taka walka zorganizowana pomiędzy syndykatami a ich przeciwnikami skartelizowanymi prowadzi często do własnej, a co ważniejsza wspólnej produkcyi, wskutek czego wytwarza się nowa obręcz, opasująca ściślej pojedyncze zakłady i paraliżująca ich popędy odśrodkowe. Zanik indywidualizmu w sferze produkcyi syndykatowej i wyradzanie się przedsiebiorcy pojedynczego w pasibrzucha, zagarniającego dywidendy, z drugiej zaś strony przewaga zbiorowości jest, jak to zobaczymy jeszcze dalej, rzeczą z punktu widzenia społecznego bardzo pożądaną. Tu doprawdy można zastosować tak źle niegdyś zrozumianą zasadę: „Im gorzej, tem lepiej.“

Dążność w tym kierunku ujawnia się z całą siłą dopiero w kartelach drugiego rodzaju, zakładanych nie dla przeciwstawienia odbiorców sprzedawcom siły roboczej lub materyałów i środków, lecz dla trzymania w karbach klienteli, nabywającej wyroby zakładów przemysłowych. Te kartele wyższego gatunku przedstawiają niezliczone mnóstwo odmian, które dadzą się ująć w trzy następujące rodzaje: 1) kartele normujące produkcyę; 2) kartele dzielące pomiędzy siebie rynki; 3) kartele ustalające cenę.

Są to jakby trzy szczeble rozwojowe dążności antyindywidualistycznej. Są to trzy rozmaite próby ujarzmienia popędów i rozmachów przedsiebiorcy dla dobra jego kieszeni, bronionej siłami zbiorowemi.

Pierwsza z przytoczonych trzech form zrywa o tyle z tradycyą, że zakreśla z góry rozmiary produkcyi w każdym zakładzie, lecz, niestety, niezawsze ze skutkiem. Pokusa obejścia przepisów centralnych, a wraz z tem przywłaszczenia sobie potajemnie zysku dodatkowego, jest tak silna, że zadanie postawione dotychczas nie zostało rozwiązane. Kartele te usiłują dopiąć celu rozmaitemi drogami: normują ilość maszyn, skracają czas roboczy, ustalają zastęp pracowników itp. W niektórych gałęziach przemysłu kontrola okazuje się niemożliwą. To też kartele drugiego rodzaju (opisywanej obecnie grupy), t. zw. kartele zbytu, zrzekają się z góry bezowocnych wysiłków, lecz za to dzielą swą klientelę na podstawie geograficznej. Kartele krajowe każdemu zakładowi wyznaczają inną prowincyę, w której otrzymuje klientelę na nieograniczoną własność, podczas gdy syndykaty międzynarodowe rozdają swym członkom, będącym w tym wypadku kartelami, całe kraje. Kartel szynowy w 1884 r. dokonał okupacyi i podziału połowy Europy, a dynamitowy z 1886 r. — połowy świata! W tych wypadkach każdy członek staje się samowładnym panem wydzielonego mu terytoryum. Będąc zabezpieczonym od wszelkiej uciążliwej konkurencyi, może regulować produkcyę i ceny według swego widzimisię.

H. Forszteter.

Listy z Wiednia.

Wiedeń, w kwietniu.

Austrya znowu dowiodła, do jakiego stopnia opanowana jest przez klerykalizm rzymski w najostrzejszej formie. Od trzech lat był tu profesorem historyi kościoła na wydziale teologicznym uniwersytetu prałat, dr. Albert Ehrhard, młody jeszcze, dopiero od lat dziesięciu wykładający uczony. Wydał on w tym roku dzieło p. t. „Katolicyzm w XX stuleciu,“ które miało ogromne powodzenie. Autor wychodzi w niem z tej zasady, że prawdziwa miłość dla kościoła nakazuje history-

---

Albo, że zejdzie tak, aby nikt o tem nie wiedział!...

. . . .

Bo tylko teorya ma takie czyste i surowe formy kryształów. Życie układa się w zarysy krzywe, zawikłane swobodne. Nasz idealizm narodowy i nasza krewkość, nietykalność fetyszów domowych i zdrady małżeńskie, rodzina trzyosobowa z mężem żoną i kochankiem, a nawet czteroosobowa z przyjacielem starym a bogatym—wszystko to godzi się razem w naszem życiu. Moralność konwencyonalna dusi te sprzeczności w swoim kociołku pod pokrywą obłudy... Dla ugłaskania naszego wrodzonego idealizmu mamy surowe zasady, a dla dogodzenia temperamentowi — lekkie obyczaje.

. . . .

Spryt wygładza życie i ułatwia — spryt, geniusz pospolitego, małego człowieka. Biada tym tylko, którzy, niepospolitą mając duszę, dążą na oślep za jakimkolwiek ideałem, pogardzając przestrogami tego trywialnego Macchiavella. Dla nich tylko świat jest twardy i srogi, na ich plecy świszcząc spada obosieczny bicz moralności konwencyonalnej.

— Ja, ksiądz i spowiednik— grzmiał teraz ksiądz Dyonizy, stukając laską w podłogę — wiem, jak rozpowszechnione jest wiarołomstwo małżeńskie. Mówię: wśród kobiet... bo o mężczyznach niema co nawet wspominać!.. to się za nic złego nie uważa! A przecież niema dwóch katechizmów: jeden dla kobiet, drugi dla mężczyzn... moralność zna tylko człowieka.

Serafinę więc za zwykłe, ludzkie przewinienie spotyka nadzwyczajna, niepomierna kara. I dlaczegóż to? Dlatego, że nawet w występku była prawą: nie chciała cię bowiem oszukiwać i czuła potrzebę ekspiacyi.

O! sprawiedliwości ludzka!..

. . . .

Wieczorem już ksiądz wyszedł z pokoju Kucza zły i znużony, lecz dopiął swego.

Serafina przysięgła na krucyfiks, że z Antonim nigdy się więcej widzieć nawet nie będzie. Poczem Stanisław zgodził się, aby wszystko było po dawnemu.

Serafina miała zostać w domu... nie dla niego, zastrzegał, gdyż żoną mu już nie będzie, lecz dla dzieci...

Dla dzieci... aby zostawić im dom i matkę, zrobił tę ofiarę z zadosyćuczynienia miłości własnej przed światem!

XIX.

Pod nieubłaganym naciskiem księdza Dyonizego, który zaraz po spowiedzi Serafiny jak burza wpadł na matkę i syna, Antoni, sam zresztą uznając żelazną konieczność, wyjechał do Petersburga, na kilka dni jeszcze przed powrotem Kucza. Pożegnał prawie chłodno Serafinę, wściekły na nią za zdradzenie wspólnej ich tajemnicy na spowiedzi — odjechał z rozpaczą w sercu, ale i z nadzieją...

Rok czasu zatrze to wszystko w pamięci ludzkiej... Kucz ostatecznie o niczem się nie dowie... stosunki ułożą się i złagodnieją... przyjdą wakacye— szczęście powróci!.. w tej, czy w innej formie, powróci!.. musi powrócić!.. Los jak rumak unosi tylko jeźdźców słabej ręki — a on będzie losem kierować! — powiedział sobie z dumnym

kom katolickim nie ukrywać nadużyć, które się zdarzały w ciągu wieków, lecz z całą stanowczością potępiać je jako sprzeczne z wiecznemi zasadami chrześciaństwa i kościoła. W imię tej zasady Ehrhard, jako historyk, rozumiejący względność i czasowość zjawisk, odważył się napisać, że czyny papieży, z wyjątkiem decyzyj, ogłaszanych *ex cathedra*, którym przyznano nieomylność, mają charakter czysto ludzki, osobisty, zależny od warunków czasu; że wolno krytykować działalność duchowieństwa rzymskiego wogóle i kongregacyj; że *Syllabus* Piusa IX, jako spowodowana warunkami czasu i do nich zastosowana apologia polemiczna zasad katolicyzmu, ma też głównie znaczenie historyczne; że również czysto historyczną, przemijającą, nie zaś absolutną wartość ma zakon jezuitów; że państwo kościelne było tylko jedną z form, lecz nie jedyną możliwą formą zapewnienia papieżowi niezależności i swobody ruchów, i tym podobne głosił twierdzenia, nacechowane wyraźnie chęcią pogodzenia katolicyzmu z dążeniami cywilizacyi nowożytnej.

Książka ta, dedykowana biskupowi polowemu, kapelanowi armii austro-węgierskiej, księdzu Belopotoczky'emu, wyszła z aprobatą arcybiskupa würzburskiego w Niemczech. Autor był więc w porządku z przepisami dyscyplinarnymi kościoła.

Co nie przeszkodziło jezuitom austryackim, rozwścieczonym ogromnem powodzeniem dzieła Ehrharda, rzucić się nań z całą namiętnością. U nich panują jeszcze poglądy, wypowiedziane z całą otwartością przez jednego z nich, De Luca, w „Podręczniku prawa kościelnego," wydanym w Ratysbonie z datą nie 1600, lecz 1901 roku. Ten członek towarzystwa Jezusowego twierdzi bez ogródki, że kościół dziś jeszcze miałby prawo karać heretyków śmiercią, czasami bowiem niema na nich innego środka; przy sposobności domaga się też dla kościoła całkowitego monopolu oświaty, tak aby bez pozwolenia biskupa nie wolno było zakładać żadnej szkoły. Rozumie się przeto, że poglądy prof. Ehrharda, które zresztą w gruncie rzeczy stoją w sprzeczności i z ostatnią encykliką papieską, były solą w oku jezuitom tyrolskim i górno-austryackim, rządzącym w takich schroniskach skrajnego obskurantyzmu, jak Salzburg i Linz. Rozpoczęli oni tedy przeciw Ehrhardowi kampanię prasową i na zgromadzeniach, którą wyraźnie popierali biskupi austryaccy. Nieszczęsny autor zauważył, że zaczyna mu być za ciasno nad modrym Dunajem. W tej właśnie chwili z Freiburga bawarskiego przysłano doń zaszczytne zaproszenie do objęcia w tamtejszym uniwersytecie katedry historyi kościoła po świeżo zmarłym katoliku liberalnym, Franciszku Ksawerym Krausie, zaproszenie poparte gorąco przez freiburskiego arcybiskupa katolickiego i połączone z zapewnieniem profesorowi wszelkiej swobody słowa. Ehrhard, otrząsnąwszy proch z sandałów, udał się do Freiburga, pozostawiając historyę kościoła w Austryi w rękach tych „uczonych," którzy, wydając jakieś dzieło historyczne, piszą na okładce, że z góry odwołują wszystko, coby władza kościelna później uznać mogła za nieodpowiednie. Przyszli duchowni, kształcący się na wydziale teologicznym, nie powinni słyszeć najmniejszego słowa krytyki, które mogłoby im w głowach rozjaśnić.

Minister oświaty von Hartel, były profesor i rektor uniwersytetu wiedeńskiego, usiłował niby ogromnie zatrzymać Ehrharda, lecz z pewnością w głębi duszy niezmiernie rad jest z tego, że ten wolnomyślny prałat wyniósł się do Niemiec. Ten minister „postępowego" ministeryum Körbera niczego nigdy nie odmawia klerykałom. Oto właśnie niedawno na miejsce ustępującego sławnego filozofa, prof. Ernesta Macha, wydział filozoficzny uniwersytetu tutejszego przedstawił ministrowi do zatwierdzenia Antoniego Riehla, wybitnego również uczonego, Austryaka, wykładającego w jednym z uniwersytetów niemieckich; a dla zaznaczenia, jak wiele fakultetowi na tym kandydacie zależy, przedstawiono jego jednego, zamiast, jak zwykle, trzech. Minister jednak kandydatury nie zatwierdził. Dlaczego? Aż śmiech bierze: ponieważ Riehl, będąc przed dwudziestu laty docentem w Gracu, wydał broszurę, w której dowodził, że wiedza stać powinna wyżej od dogmatu.

Spełnia się życzenie kaznodziei jezuickiego, ojca Abla, który przed rokiem wzywał, aby Wiedeń ratował dziś kościół od „masoneryi," tak samo jak przed dwoma przeszło wiekami przy pomocy Sobieskiego ratował chrześciaństwo od nawały niewiernych. Przy tem ratowaniu uniwersytet wiedeński, niegdyś słynny, traci coraz bardziej na swej wartości; a tu jeszcze brak środków materyalnych, na co profesorowie wydziału filozoficznego uskarżają się gorzko w memoryale do parlamentu.

Na kim właściwie leży obowiązek pilnowania całości i popierania rozwoju tego ogniska kultury niemieckiej, jakiem jest uniwersytet wiedeński? Na liberalnej lewicy niemieckiej, oczywiście. Ale lewica niemiecka, od „wiernokonstytucyjnych" magnatów aż do radykalnych wszechniemieckich krzykaczy, ma co innego, coś daleko ważniejszego do roboty — i to właśnie w chwili bieżącej. Musi bronić zagrożonej przez Słowian placówki niemieckiej—przesławnej Cylei. Proszę tylko pomyśleć: miasto niemieckie leży wśród morza ludności wiejskiej, słoweńskiej. Mniejsza o to, że ma tylko 6,000 mieszk.; ponieważ, na mocy ogólnego prawa historycznego, grozi mu zalanie przez otaczające morze wiejskie i upodobnienie z tem morzem, więc trzeba je bronić wszelkiemi siłami. Tymczasem przed paru laty jedno z antyniemieckich ministeryów feodalno-klerykalnych—zdaje się, hr. Thuna — zrobiło wyłom w tej fortecy niemczyzny, wyłom straszny: dekretem utworzyło przy cylejskiem gimnazyum niemieckiem aż cztery słoweńskie klasy równoległe, słoweńskie o tyle, że w nich dzieci wieśniaków okolicznych uczą się kilku przedmiotów po słoweńsku, a przeważnej większości — po niemiecku! Cały świat niemiecko-austryacki wzdrygnął się na tę straszną krzywdę i obelgę; lecz ponieważ dotychczas, w braku parlamentu, budżety były ustanawiane dekretem, więc teraz dopiero podczas dyskusyi budżetowej znaleźli Niemcy sposobność zaprotestowania w parlamencie. Co prawde, niewiele udało im się zrobić. O odebraniu Słoweńcom raz zdobytego posterunku nie mogło być mowy: stan trudnej rekonwalescencyi, w jakim znajduje się parlament, podobnie ostrych środków nie dopuszcza. A tu trzeba było dać jakąś satysfakcyę roznamiętnionym szowinizmem wyborcom niemieckim, przed którymi partye niemieckie wciąż się przelicytowują we frazeologii germanizacyjnej. Więc wymyślono drogę rezolucyi: parlament miał wyrazić życzenie, aby ministeryum przeniosło klasy równoległe, słoweńskie z Cylei do jakiegoś innego miasta — słoweńskiego. Dla Słoweńców byłoby to krzywdą ze względu na znaczną odległość proponowanego Marburga, dokąd chłopi nie mogliby dowozić swym dzieciom żywności, jak to dotychczas robili. Słoweńcy byli więc przeciw rezolucyi, a Czesi poparli ich, aby skorzystać ze sposobności upokorzenia Niemców. Ten sam powód zresztą pozyskał dla sprawy słoweńskiej wszystkie żywioły w parlamencie, które dawniej, za Badeniego i za Taaffego, stanowiły większość klerykalno słowiańską; wyzwani nieostrożnie przez lewicę niemiecką, Niemcy klerykalni, Czesi i Koło polskie pospieszyli zamanifestować, że stanowią większość i mogliby rządzić przeciw lewicy — a powód ten był tak silny, że skłonił nawet dbałego o swe stanowisko p. Piętaka, ministra dla Galicyi w *neutralnym* gabinecie Körbera, do głosowania manifestacyjnie w charakterze poselskim przeciw rezolucyi niemieckiej. Zwykle w podobnych wypadkach z lewicą niemiecką szli ręka w rękę Włosi, toczący również walkę narodowościową ze Słoweń-

---

ruchem głowy, choć łzy ocierał z oczu, gdy bryczka toczyła się po równym trakcie, a Zwoleńce nikły za wzgórzem.

. . . .

W stolicy towarzyskie życie studenckie, troski o utrzymanie i studya pracowite, zajmując mu czas całkowicie, rozrywały smutek i tęsknotę.

Aż pewnego dnia w obecności kilku kolegów, którzy zebrali się u niego w ciasnym, studenckim pokoiku, odebrał naraz dwa listy ze stemplem Zwoleniec. Oba adresowane nieznanem mu pismem.

Pierwszy, którego kopertę rozerwał gorączkowo, był anonimem. Nieznajoma ręka, widocznie rozkoszująca się zadawanym ciosem, opisywała ze szczegółową skrupulatnością skandal w domu Kuczów— donosiła o separacyi małżonków i okropnej przyszłości Serafiny.

Czytał go z pałającą twarzą, z oczami, które przez łzy miotały iskry gniewu, zgrzytął zębami i zaciskał pięści, nie mogąc zapanować nad sobą.

Koledzy, z twarzy jego wyczytawszy niemy dramat, jeden za drugim cicho wynieśli się — w pokoju pozostał tylko jeden medyk, przyjaciel.

— Oh! szalona!.. oh, głupia! głupia! szalona! — wołał, uderzając się dłonią w czoło w uniesieniu złości i rozpaczy...

W drugim liście Serafina pisała:

> Niech Bóg przebaczy nam nasze wspólne grzechy, kochany Antoni, chcę się pożegnać z tobą na wieki! Zdrowie twoje wymaga spokoju, więc panuj nad sobą rozumem, ale nawet widzieć się ze mną nie żądaj! Nie spotkamy się już nigdy na tym świecie!.. Przysięgłam na to... Bądź zdrów, mój drogi, życzę ci wszystkiego najlepszego w życiu. Będę się modlić, aby ci Bóg jak najrychlej serce odmienił, aby ci zesłał inną miłość prawą i czystą, a o tej występnej i smutnej zapomnij! Serafina.

Ten list dopełnił miary jego wzruszeń. Blady jak ściana, trzęsąc się febrycznie, rwał na sobie krawat i kołnierz, nie będąc w stanie złapać oddechu.

To była z jego strony ostatnia podłość!.. Był skończonym nikczemnikiem!..—oskarżał się przed przyjacielem bezdźwięcznym głosem.

Jak mógł zostawić tę kobietę w pozycyi tak hańbiącej, w domu męża, którego ona zdradziła?! Jak mógł nie przewidzieć, że prawa jej dusza nie zniesie obłudy i kłamstwa?! — Zakrył twarz rękami. — Nieszczęsna!.. oskarżyła się sama!.. I została skopana nogami... włóczona za włosy!.. Pod przysięgą kazali jej wyrzec się mnie na wieki!.. nawet widoku!..

„Otóż nie!.. otóż tego nie będzie!.. nie! nie!"

Bo on się jej nie wyrzeknie nigdy! za nic na świecie!.. Tembardziej teraz, gdy jest jedynym, naturalnym jej obrońcą! On nauczy tego aptekarczyka postępowania z kobietą! Przez swoje chamskie brutalstwo utracił wszelkie do niej prawo!.. Nie będzie jego niewolnicą i męczennicą przez całe życie!..

. . . .

Nazajutrz rzucił studya i z Petersburga wyjechał...

(C. d. n.)

cami, lecz obecnie, urażeni do głębi bezwzględnem poparciem, udzielonem rządowi przez „podtrzymującą państwo“ lewicę niemiecką w sprawie wprowadzenia stanu wyjątkowego w Tryeście, głosowali przez zemstę przeciw rezolucyi niemieckiej. Rezolucya przepadła sromotnie, a lewica niemiecka, z własnej woli i winy haniebnie skompromitowana przed wyborcami, wpadłszy w bezsilną złość, wini o wszystko prezesa ministrów, który powinien był kazać Kołu polskiemu wyprawić połowę członków za drzwi (dobre jednak mają pojęcie o posłuszeństwie Koła polskiego!..), grozi obstrukcyą i domaga się — ona, partya liberalna i parlamentarna! — aby rząd wykonał jej rezolucyę dlatego właśnie, że parlament ją odrzucił! Schönererowcy urządzają swój popis: szturm do trybuny prezydyalnej i wygrażanie ciężkim dzwonkiem pod nosem prezesa parlamentu. Przedtem jeszcze jeden z nich, bursz Stein, pokłóciwszy się z młodoczechem Dykiem, przyniósł do sali i publicznie w parlamencie pokazywał harap, przeznaczony do obicia przeciwnika, w odpowiedzi na co Dyk kupił i przyniósł z sobą na posiedzenie rewolwer nabity...

I to wszystko dzieje się w okresie t. zw. największej pracowitości i normalności parlamentu. Ba! w gruncie rzeczy wszystko to jest tylko pozą. Dr. von Körber swoją mową jesienną, w której dał do poznania pp. posłom, że w razie trwania dalszych parlamentarnych zaburzeń ucieknie się do radykalnego lekarstwa — zniesienia kuryj wyborczych i wprowadzenia równego głosowania powszechnego, tak nastraszył wybrańców klas uprzywilejowanych, że chodzą teraz na jego pasku i ani myślą o udaremnianiu „konieczności państwowych“ w rodzaju budżetu, delegacyj, kredytów wojskowych, prawa poborowego. P. Körberowi też to wystarcza, i po za tem udaje, że gorliwie prowadzi układy ze stronami powaśnionemi. Ale strony te, a w szczególności przyzwyczajona do stanowiska uprzywilejowanego burżuazya niemiecka, muszą co chwila burzyć się w obronie przywilejów narodowościowych, zaś nastrój wyborców i konkurencya stronnictw musi pchać posłów do demonstracyj; parlament, złożony z przedstawicieli warstw uprzywilejowanych tylu narodowości, które to warstwy, nie mając żadnych ogólno-ludzkich zasad, pojednać się we wzajemnej sprawiedliwości nie mogą, a haseł szowinistycznych potrzebują jako antydotu przeciw stronnictwu reformy społecznej—parlament taki musi przy byle sposobności, choćby tak śmiesznie małoznaczącej, jak klasy równoległe w Cylci, być rozdzierany przez walki narodowościowe i nie mieć możności pełnienia właściwych funkcyj politycznych, kierowania rządem i kontrolowania go; w tych warunkach nie może wytworzyć się żaden prąd nowożytnej polityki reformatorskiej.

I dzięki temu, na mocy zasady *divide et impera*, Austrya nie rozpada się wprawdzie, ale niepodzielnie pod różnemi firmami rządzi w niej feodał i Rzym.

K. R.

Z ruchu kobiecego we Francyi.

Śmierć zabrała w ostatnich czasach dwie wybitne kobiety—Klementynę Royer i Maryę Gagneur,—któremi słusznie szczyciły się francuskie bojowniczki wyzwolenia. Klementyna Royer miała sławę europejską, a obok tego wielkie uznanie swych rodaków. Pochodziła z Bretanii, a więc z prowincyi słynnej z zacofania i klerykalizmu, wykształcenie zaś odebrała w klasztorze. To jednak nie przeszkodziło jej zerwać z przesądami i stać się wcześnie zwolenniczką myśli wolnej, której wierną pozostała aż do ostatnich chwil swego życia. Zwróciła na siebie powszechną uwagę śmiałą przedmową, poprzedzającą jej przekład Darwina „O przemianie gatunków,“ wydany w 1862 roku. Następnie jej wykłady filozoficzne w Lozannie cieszyły się wielkiem powodzeniem; bywały na nich nawet damy z wyższego towarzystwa, aż do chwili, gdy zaczęła objaśniać Biblię. Praca jej była iście mrówczą: zajmowała się filozofią, ekonomią, naukami przyrodniczemi, historyą religij. Na konkursie kantonu Vaud, jednocześnie z Proudhon'em, zdobyła nagrodę za swą pracę „O podatkach“; napisała następnie cały szereg dzieł, z których wiele nie ujrzało światła dziennego, ważniejsze są: „Doktryna ewolucyi,“ „Historya teoryi atomistycznej,“ „Pochodzenie człowieka i społeczeństw,“ „Historya religij,“ „Dobro i prawo moralne,“ „Obrzędy pogrzebowe w starożytnyści,“ wreszcie ostatnia praca „La constitution du monde.“ Po za tem pomieszczała artykuły w *Bulletin de la Société d'Anthropologie*, w *Revue scientifique*, *Journal des Economistes*, *Republique française*, nakonice w dzienniku feministycznym *La Fronde*, któremu służyła wytrwale od chwili założenia, pomimo iż z jego kierunkiem nie zgadzała się.

Pracowitość jej i wiedza były istotnie zdumiewające, Renan powiedział niegdyś o niej *c'est presque un homme de génie*, a Berthelot, Aulard, Ribot, Richet, Levasseur i Letourneau podali w r. 1895 petycyę do ministra oświaty, wyrażając konieczność nagrodzenia zasług Klementyny orderem Legii honorowej; co też uczyniono w 1900 r.

A jednak ten umysł, tak bogato wyposażony, tak szeroko filozoficznie wykształcony, nie umiał oceniać zjawisk społecznych ze stanowiska nowych zdobyczy, nowych poglądów: nie pojmowała zupełnie dążeń nowożytnych w kierunku przekształcenia ustroju społecznego i najzawziętszej potępiała je jako bezcelowe i nawet szkodliwe.

O doniosłości prac swych miała cokolwiek przesadne wyobrażenie: zestawiała siebie np. na równi z Taine'm i uważała, że ma dostateczne zasługi, aby być członkiem trzech akademij: Akademii nauk, Akademii nauk politycznych i moralnych, oraz Akademii napisów.

Nad grobem jej przemawiali: dr. Verneau w imieniu Towarzystwa antropologicznego, Levasseur — Towarzystwa ekonomii politycznej, Desmons wice-prezes Senatu od związku wolno-mularzy, pani Durand od dziennika *Fronde*, panna Bonnevial od Ligi praw kobiecych, wreszcie pani Martial—od Towarzystwa polepszenia losu kobiet.

Innego całkiem pokroju była Marya Gagneur: nie zdumiewała ona wiedzą encyklopedyczną ani ogromem pracy, lecz położyła wielkie zasługi, służąc piórem swem każdej idei, mającej na celu sprawiedliwość i szczęście ludzkości.

Podobnie jak Klementyna Royer otrzymała wykształcenie w klasztorze, i tam już w młodziutkiej dzieweczce obudziło się oburzenie na ciasnotę umysłową, nietolerancyę i obłudę. Zawód literacki rozpoczęła w 18 roku życia. W *Croisade noire* wypowiedziała otwarcie walkę klerykalizmowi, co skłoniło ówczesnego ministra Broglie do wzbronienia sprzedaży książki. Następnie w *Calvaire des femmes* opisała smutną dolę robotnic, w *Forçats du mariage*, znacznie wcześniej od Naquet'a, podniosła kwestyę konieczności rozwodu, w *Les crimes d'amour* sprawę dochodzenia ojcostwa, w *Roman d'un prêtre*, *Vengeance du beau vicaire*, *Chevalier de Sacristie*, żywemi barwami kreśliła hypokryzyę wierzących, w *Chair à canon* powstała przeciw nienawiści plemiennej i wojnom, wreszcie *Jean Caboche* i *Le baron pirouette* miały na celu propagandę republikańską i rozeszły się wśród chłopów w tysiącach egzemplarzy.

Marya Gagneur, podobnie jak Klementyna Royer, pozostała do końca życia wierną myśli wolnej.

Obecnie w stowarzyszeniach feministycznych gorące rozprawy budzi sprawa dopuszczenia kobiet, uprawiających malarstwo, rzeźbę, architekturę lub muzykę do najwyższej nagrody, zwanej *Prix de Rome*, a dostępnej dotychczas tylko dla mężczyzn. Ubiegać się o nią może ten jedynie, kto zdobył nagrodę pierwszą w Szkole Sztuk Pięknych lub w Konserwatoryum; stypendyum wynosi 3,510 fr. rocznie przez przeciąg lat 4-ch z prawem, a raczej obowiązkiem mieszkania przez cały ten czas w willi Médicis w Rzymie i składania dowodów pracy. Otóż, podczas rozpraw nad budżetem, referent, deputowany Couyba postawił wniosek, że skoro kobiety na mocy dekretu z 1897 roku zostały dopuszczone do Szkoły Sztuk Pięknych, to należy również dać im prawo ubiegania się o *Prix de Rome*. Projekt, rzecz oczywista, wywołał ogromną wrzawę, wobec jednak niemożliwości walczenia przeciw samej zasadzie rzucono pytanie: co będzie jeśli laureatka zechce korzystać z przysługującego jej prawa mieszkania w Willi Médicis wśród kolegów mężczyzn? Posypały się interviewy z rozmaitemi wybitnemi osobistościami i komentarze mniej lub więcej sarkastyczne; nieproszeni opiekunowie wystąpili z gorącem ostrzeżeniem, aby kobiety nie korzystały z równych praw ze względu na straszne niebezpieczeństwa, na jakie zostaną narażone. Stara ta broń nie znalazła wielu zwolenników: przykład studyów wspólnych dla mężczyzn i kobiet w uniwersytetach, jako też i ten wzgląd, że o nagrodę ubiegać się będą mogły artystki dopiero po długich latach pracy, a więc nie dziewczątka młode, niedoświadczone i życia nieznające, lecz kobiety, pomiędzy 25 a 30 r. życia zdołały wielu uspokoić. Spostrzeżono się wreszcie, że takie patrzenie na sprawy jest spotwarzaniem młodych artystów, którzy nie zasługują przecie na to, żeby ich uważano za barbarzyńców, od których kobiety nie mogą spodziewać się dla siebie tego szacunku i dobrego koleżeństwa, jakiego dają już dowody w Szkole Sztuk Pięknych, gdzie jest 7 kobiet w sekcyi malarstwa, 8—rzeźby i 1 na architekturze. Przypuszczają ogólnie, że pierwszemi kandydatkami do nagrody rzymskiej będą panna Rondenay, malarka, która pierwsza z pomiędzy kobiet zdobyła nagrodę im. Huguier z anatomii, oraz panna Cautain, uczennica konserwatoryum, która pod kierunkiem Pugno, Chapuis, Vidal, Guilmant i G. Fauré otrzymała kolejno cztery pierwsze nagrody: za grę fortepianową, harmonię, akompaniament i grę na organach, a obecnie zwróciła na siebie uwagę jako kompozytorka w stylu nieco zbliżonym do do Saint-Saënsa.

Już w r. 1897, gdy otwarto dla kobiet podwoje Szkoły Sztuk Pięknych, Akademia otrzymała hojny zapis 100,000 fr. od wdowy po malarzu Gustawie Moreau, z wyraźnem przeznaczeniem tej sumy na ufundowanie *Prix de Rome* dla kobiet. Ale Akademia odmówiła wówczas przyjęcia zapisu, motywując swe postępowanie tem, że nagroda podobna dla kobiet nie istnieje; dziwna to była odpowiedź, boć przecie pani Moreau, czyniąc swój zapis, wiedziała o tem, że dotychczas nie było mowy o dopuszczeniu kobiet do ubiegania się o ową nagrodę, więc swym zasiłkiem pragnęła przyczynić się do utorowania drogi wytrwałym pracowniczkom na niwie artystycznej. W roku zeszłym takiż sam los spotkał ofiarowaną przez panią Berteaux, przewodniczącą Związku malarek i rzeźbiarek, roczną zapomogę 300 fr. dla artystek pra-

gnących stanąć do konkursu o *Prix de Rome*. Obecnie jednak minister Leygues najwyraźniej oświadczył, że w zasadzie zgadza się na zrównanie praw obu płci w tym względzie i poleci komisyi, specyalnie wyznaczonej opracowanie strony praktycznej zapowiedzianej reformy.

Z pomiędzy kobiet, które ukończyły wyższe studya w ostatnich czasach zasługują na wzmiankę zaszczytną: panna Delporte, której rozprawa doktoryzacyjna na wydziale lekarskim o zmianach charakteru u dzieci wyróżniała się sumiennością i samodzielnością. Rozpatruje ona w dziedzinie przyczyn — dziedziczność, choroby i wpływ otoczenia; bada budowę i fizyologię mózgu dziecka i nawołuje rodziców, oraz wychowawców do pilniejszej baczności w kierunku poznania natury dziecięcej.

Panna Ludwika Paschoud, Szwajcarka, ukończyła Ecole du Louvre, gdzie oddawała się studyom nad archeologią, epigrafię wschodnią, oraz historyą malarstwa, rzeźby i sztuki stosowanej; rozprawa z dziedziny historyi malarstwa daje jej wszelkie kwalifikacye na konserwatorkę muzeum.

Pani Vaschilde, Rumunka, wyspecyalizowała się w archeologii i epigrafii łacińskiej w paryskiej Ecole des Hautes - Etudes; rozprawa jej z dziedziny historyi podboju Dacyi została odznaczoną i będzie drukowaną kosztem Szkoły.

Panna Cipriani, Amerykanka, zdobyła tytuł dr. filologii, po ukończeniu studyów nad językami rumuńskiemi i napisaniu rozprawy z tej dziedziny.

Wreszcie Raina Tyrnewa, Bułgarka, otrzymała w Lyonie tytuł *doctoresse ès lettres modernes*, za rozprawę nader sumiennie opracowaną o Hoholu; ten doktorat bez rozprawy łacińskiej jest niedawno wprowadzoną nowością.

Tak więc kobiety szukają obecnie już innych gałęzi wiedzy, nie ograniczają swych dążeń do medycyny, jak to było w początkach ruchu.

Iza Zielińska.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Truizm.

Lepiej późno, niż nigdy. Tę smutną, ale jedyną pociechę zawdzięczamy p. Sz. Askenazemu w sprawie, której ważność powiększa zarówno nasz wstyd długiego jej nierozumienia, jako też naszą wdzięczność za należytc, choć spóźnione jej oświetlenie. Mianowicie szan. profesor Iwowski (*Kuryer. Warsz.*) z powodu ponownie wydanej pracy Kraszewskiego „Polska w czasie trzech rozbiorów“ wykazuje, że „okres od 1772 do 1799 r. nie posiada właściwie żadnej innej, ściśle ograniczonej, istotnej cechy specyficznej, ani ze stanowiska wewnętrznych dziejów polskich, *ani też powszechnie europejskich*, oprócz tej jednej, że w tym czasie ułożone, spisane i wykonane zostały trzy pierwsze umowy podziałowe.“ Dotąd mniemano, że jeżeli państwo po wielowiekowem życiu nagle istnieć przestało, to fakt jego zgonu, to epoka, w której „ułożone, spisane i wykonane zostały trzy pierwsze umowy podziałowe,“ nawet „ze stanowiska dziejów wewnętrznych“ wytwarza dla tego okresu „ściśle ograniczoną, istotną cechę specyficzną.“ P. Askenazy twierdzi, że tak nie jest i że owa epoka „przedstawia się jako ułamkowy i przechodni (*sic!*) epizod dziejowy, bo potem dzielono jeszcze kilka razy.“ Innemi słowy, według p. A. scięcie sosny jest dla niej „epizodem ułamkowym i przechodnim,“ skoro potem została jeszcze potarta na bale i deski. Ale chociaż fakt podziałów nie miał „ściśle ograniczonej, istotnej cechy specyficznej“ również ze stanowiska „powszechnych dziejów europejskich,“ był „najwydatniejszym“ objawem „kierunku i ducha nowożytnej ewolucyi politycznej,“ „*radykalnej* przemiany dotychczasowej, *odwiecznej* składni międzymocarstwowej.“ Prosty rozum gotów mniemać, że ten „najwydatniejszy“ objaw powinienby wystarczyć do nadania swemu czasowi „cechy specyficznej,“ pomimo że „wiek XVIII jest wypełniony po brzegi nieprzerwaną koleją robót podziałowych.“ P. Askenazy nie może tego przyznać. A ów prosty rozum, zwłaszcza choć cokolwiek znający historyę, jest tem bardziej zdziwiony, że on dotychczas ani przypuszczał, ażeby naruszanie „odwiecznej składni międzymocarstwowej,“ dwu starych zasad: „prawa narodów“ i „równowagi zachowawczej,“ ażeby związki „sojuszniczo-spółkowe,“ ażeby „konieczność zaspokojenia nieodpartych ekspensywnych dążeń i potrzeb,“ ażeby „dążność krępowana przy zastosowaniu swojem w praktyce jedynie przez niezawisłe (?) względy wykonalności faktycznej,“ ażeby to wszystko było szczególną właściwością wieku XVIII. Takich dowodów, jakie p. A. przytoczył dla tego stulecia możnaby przytoczyć tysiąc dla innych, w których owa „składnia międzymocarstwowa“ i owe zasady zostały „ciężko na szwank narażone.“

Cały swój wywód p. A. uważa za „najwidoczniejszy aksyomat, najpospolitszy truizm“ i dziwi się „dotychczasowemu zboczeniu sądu historycznego.“ Tłomaczy jednak to zboczenie „*wyjątkową* naturą tego *bezprzykładnego* zjawiska dziejowego.“ Co znowu — bezprzykładnego, po wyliczeniu wielu przykładów, stwierdzających jego powszedniość? A bo „wyjątkowem“ i „bezprzykładnem“ było ono tylko na „techniczną formę wykonania.“ Czytelniku, jeśli twojem narzędziem historyozoficznem jest zwyczajny rozsądek i jeżeli nim nie wyrabiasz „najoczywistszych aksyomatów“ i „truizmów,“ to pamiętając, że wojny i zabory były od początku świata, w „technicznej formie ich wykonania“ widzisz zapewne ich różnice i „specyficzne cechy.“ Jeżeli cię to dziś kłopocze, pociesz się tem, że sam p. Askenazy nie wie dokładnie, czy zdarzenia, o których mówi, były lub nie były ogólnie i szczególnie wypadkami „dalekonośnemi,“ a także i tem, że oryginalność za wszelką cenę nie jest najlepszą i najbezpieczniejszą drogą do prawdy. Czasem można nią dojechać do bezsensu.

Anathema.

Pisaliśmy niedawno o osobliwej polemice, jaka się toczyła na łamach naszych pism zachowawczych w sprawiu studyum biskupa Niedziałkowskiego p. t. „Czemu dziś w poezyi niema słowików?“ Obecnie rozegrał się ostatni akt tej tragikomedyi. Ks. Kowalski za to, że się ośmielił w sporze między biskupem-literatem a księdzem-krytykiem stanąć po stronie ostatniego, został usunięty od sprawowania obowiązków kapłańskich. Krótko, ale zrozumiale. Doprawdy, brak tylko trzasku łamanych świec i łoskotu zatrzaskiwanych podwoi kościelnych, abyśmy mieli doskonale wyreżyserowaną scenę z obyczajności średniowiecza; maluczko, a rozgorzeją stosy, których płomienie mają wypędzić szatana z czarownic i arcbikacerzy w rodzaju Giordana Bruno. Tworzy się olbrzymia oaza piaszczysta wśród wartkich potoków życia współczesnego, śmiało urągająca zmiennym falom czasu i miejsca: wiek XII czy XX — wszystko jedno, opoka przesądów, „światło ćmiących“ nie zachwieje się, nie zadrży. Taki to już w niej materyał niepożyty. *h.*

Katedra na Wawelu.

„Katedra na Wawelu, to nie kaplica prywatna, którą właściciel może rozporządzać i w której może gospodarować wedle własnego widzimisię...“ (p. art. p. Feliksa Jasieńskiego p. t. „Odnowa katedry na Wawelu“ w *Kur. Warsz.* z d. 20 b. m.). Pogląd ten, podzielany, jak sądzę, przez ogół społeczeństwa naszego, nie trafia tylko do przekonania krakowskiemu komitetowi odnowy katedry na Wawelu, który rządzi tam i gospodaruje, jakby we własnej śpiżarni. Do podobnego traktowania spraw doniosłości ogólnej przyzwyczaiły nas zresztą wszelkie komitety krakowskie, czerpiące zazwyczaj natchnienie do prac swoich z takich źródeł, jak *Czas* itp. przybytki mądrości narodowej; sądziliśmy wszakże, iż pod wpływem oburzenia ogólnego i protestu sfer najbardziej kompetentnych, zachwieje się nieco upór komitetu i sprawa cała przybierze obrót pożądany. Widocznie jednak komitet krakowski ma tak krzepkie sumienie, jak Bismarck np., który, jak wiadomo, nikogo się nie bał prócz Boga — komitet i Boga może się nie bać, bo mu przewodniczy kardynał Puzyna — gdyż nie dość, że nikogo nie słucha i o ustępstwach żadnych nie myśli, lecz nadto stara się fałszować opinię publiczną i wyrabiać wśród ogółu przekonanie, że nie jest tak źle, jak ludzie głoszą. *Czas* i niektóre nasze organy pokrewne dopomagają mu w tem.

Na fałsze i niezgrabne wykręty komitetu zwraca uwagę wspomniany artykuł p. F. Jasieńskiego, któremu należy się uznanie za demaskowanie czynności komitetu, jak również i za to, że już zawczasu ostrzega ogół przed niebezpieczeństwem, jakieby groziło zamkowi wawelskiemu, gdyby tym samym ludziom powierzono jego odnowę. Warto doprawdy o tem pomyśleć. *Wl.*

Fabryka znakomitości.

Wiadomo, że szafarzem wszelkich łask ziemskich i dawcą nieśmiertelności, jest *Kuryer Warszawski*, a raczej jego rozmaite sylfy. One wyznaczają nam wszystkim miejsca na tym padole płaczu, podnoszą w randze, albo degradują, wieńczą za życia laurem—albo ściągają z piedestału. Dobrze jest mieć jakiegoś kuzyna lub protektora łaskawego w *Kuryerze*, gdyż tylko wówczas można być pewnym, że sława nas nie minie. Nikt bowiem tak udoskonalonym sposobem nie fabrykuje znakomitości, jak owo pismo. Udaje się mu zwłaszcza przyspieszone wytwarzanie znakomitości beletrystycznych. Sposób bardzo prosty: Jeszcze „autor“ nie zaczął pisać, a już skuzynowany *Kuryer* przyrzeka sobie, że go uczyni sławnym; zaledwie zdołał ochłonąć z podziwu, że pierwszy jego utwór, dzięki poparciu kogoś z redakcyi i własnej dokuczliwości, nie poszedł do kosza, a już *Kuryer* poleca go uwadze czytającej publiczności. Jeśli, broń Boże, po pierwszej próbie nastąpi druga, to napewno przeczytamy: „znany autor noweli, złożył nowy dowód swego, wielce obiecującego, talentu.“ Tak, ostatnio, został wyróżniony „talent“ niejakiego Darwida, którego *Kuryer* stale nazywa „subtelną autorką“ „Jóżka Marzyciela“ i „Kwiatów...“

Jest w tem wszystkiem wiele mimowolnego komizmu, ale też i sporo spokojnej pewności, właściwej duchom reporterskim, które wiedzą, że kropla wody spadającej wyżłobi kamień. Tak się też w świadomości ogółu żłobią imiona osób i „talentów,“ które tylko tą drogą zwiększają karykaturalny hufiec, naszych kuryerkowych znakomitości...

Scena miłośników.

Nie wiem, czy kiedy o naszej scenie miłośników sztuki dramatycznej będą ludzie z takim respektem się odzywali, jak o sła-

wnym „Théatre libre" Antoine'a—bądź co bądź, jest to scena, z którą ogół się liczy i odbiera, dzięki jej, sporo wzruszeń estetycznych. Wystawienie na scenie miłośników doskonałej sztuki Brieux'a „Czerwona toga," mogło znowu niejednego przekonać, że od tej instytucyi można wiele dobrego oczekiwać. Wśród tych „miłośników" są prawdziwe talenty sceniczne, jest zapał, a u niektórych nawet sprawność rutynowanych artystów. Ale żeby te wszystkie przymioty sceniczne jeszcze lepiej uwydatnić i wyzyskać trzeba, iżby „miłośnicy" strzegli się, jak zarazy, tych wszystkich zwyczajów i porządków, jakie panują na scenach nie miłośników, lecz zawodowych artystów. Trzeba się wyrzec wszelkich osobistych ambicyjek i myśleć tylko o dobrem odegraniu sztuki, nie zaś o własnej „sławie." Miłośników jest sporo, wszystkim chce się występować, stąd nieraz nie widać w ich grze zespołu, gdyż jedni i ciż sami często ze sobą grywać nie mogą. Dbała o dobro tej sceny reżyserya nie powinna ulegać współzawodniczącym o tę lub inną rolę, lecz podług własnego rozumienia je rozdawać. Kierownik artystyczny zaś powinien dbać przedewszystkiem o wystawianie sztuk, niemających łatwego dostępu do scen oficyalnych. W ten sposób scena miłośników może się stać prawdziwym pionierem naszego życia artystycznego.

Ubezpieczenie literatów.

Na ostatniem zgromadzeniu ogólnem uczestników Kasy literackiej z łona komitetu wyszedł wniosek ubezpieczenia na życie 30 członków po 1,000 rb., co dałoby się uskutecznić kosztem 1,200 rb. rocznie, wyznaczonych na ten cel z kapitału obrotowego. Byłoby to więc szlachetną jałmużną. Ale tylko jałmużną. Słusznie przeto już na zgromadzeniu zaznaczyło się żądanie postawienia tego projektu na szerszych podstawach samopomocy i pomocy wzajemnej. Chodzi o to, aby *wszyscy* członkowie Kasy mogli być ubezpieczeni i aby Kasa ze wszech sił do tego im dopomogła, bądź przeznaczając na to fundusz przezorności lub część jego, jeżeli to nie sprzeciwia się ustawie, bądź płacąc za nich składkę ubezpieczeniową i rozkładając ją na spłaty miesięczne, co dla wielu literatów i dziennikarzy byłoby olbrzymiem ułatwieniem. Słusznie zauważono, że fundusz przezorności nawet po latach dwudziestu wyniesie drobną sumę 700—800 rb., co nikomu spokojnej starości nie zapewni; jest to więc oszczędność bardzo nieznaczna. Cóż dopiero, jeśli ktoś tych dwudziestu lat nie dożyje? A wiemy, jak trudno przeciętnemu pracownikowi pióra, żyjącemu z honoraryów kopiejkowych, ciułać grosz na „czarną godzinę"; instytucya, która już tylokrotnie zaznaczyła swoją wysoce pożyteczną działalność, powinna nad projektem ubezpieczenia głęboko i szczerze pomyśleć.

Szlachetny projekt.

P. E. Świecimski podaje projekt założenia szeregu szkół rolniczych: jednej średniej, któraby przygotowywała rządców i administratorów wiejskich, i 20—50 niższych dla wykształcenia ekonomów i oficyalistów drugorzędnych; przy każdej z tych ostatnich miałaby być założona ferma wzorowa. Projekt to ze wszech miar godzien poparcia; zwłaszcza na owe szkoły niższe należy położyć nacisk szczególny, nie dlatego wszakże, aby przygotować „ekonomów" i „oficyalistów," lecz żeby wpłynąć na podniesienie kultury ziemi w gospodarstwach małorolnych, włościańskich. Powolna, ale nieustanna parcelacya majątków wielkich, czyni coraz pospolitszym typ gospodarstw drobnych; wobec tego kwestya fachowego wykształcenia włościanina staje się coraz bardziej palącą i równoznaczną z kwestyą zasadniczą stanu rolnictwa naszego. Projektowi p. Świecimskiego, natchnionemu poczuciem obywatelskiem, należy się z całej duszy przyklasnąć. Inna rzecz wykonanie pomysłu; to będzie zależało przeważnie od dobrej woli i zrozumienia interesu społecznego przez naszych ziemian. Oby tylko bezwładność umysłowa i zamiłowanie rutyny nie wzięły góry.

Walka z karciarstwem.

Oto mamy do zaznaczenia jeszcze jedno usiłowanie szlachetne a, według wszelkiego prawdopodobieństwa, bezowocne. Towarzystwo ku zwalczaniu gry hazardowej w Poznaniu ogłasza konkurs na utwór sceniczny, mający „wykazać zdrożność karciarstwa i zabójczy jego wpływ na byt i moralność rodziny i społeczeństwa." Na podobny konkurs Konstanty Gaszyński już w r. 1857 napisał satyrę „Gra i karciarze," która, mówiąc nawiasem, nie należy do najlepszych utworów autora, a wszystko zostało po dawnemu: wielcy panowie przegrywają krocie do węgierskich i innych magnatów, a roje pospolitego ludu wyniszczają do szczętu ubożuchne pokłady mózgowe w kombinacyach preferansa, winta, taroka, nie mówiąc już o takich, którzy puszczają wodze swemu temperamentowi w bakarze i innych grach hazardowych. Ale to wszystko groch na ścianę! Sztuki, wykazujące „zdrożność karciarstwa," można grać jednocześnie na wszystkich scenach polskich, a pomimo to resursy i kluby nie stracą ani jednego bywalca, ani jeden mniej stolik, obciągnięty suknem, z warsztatów stolarskich nie wyjdzie. Ażeby wykorzenić nałóg karciarstwa, należy podnieść kulturę moralną i umysłową społeczeństwa, należy przyzwyczaić je do szukania szlachetniejszych rozrywek. A droga ku poprawie — jedynie w wychowaniu pokolenia młodego; stare z pełną garścią atutów zejdzie w mogiłę. Smutne to, ale prawdziwe.

Dążmy więc do tego, aby nasi spadkobiercy stanęli na tym poziomie rozwoju duchowego, na którym karty nie mogą głodu jego myśli zaspokoić; bo oddaje się nałogowi ten tylko, kto ponad szlemy wznieść się umysłem nie może i nie umie. Wszelkie moralizowania nic tu nie pomogą.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

W. K.: *Dreyfusyada* poemat bohaterski w czterech pieśniach. Warszawa 1901. — M. F. Urbański: *Opowieść lirnika.* Warszawa 1901. — Artur Gliszczyński: *Z mroku i dymu,* poezye 1. Warszawa 1901.

Dnia 5 lutego 1900 r. ukończył w Smoleńsku p. W. K. poemat, którego główną a najwyższego uznania godną zaletę stanowi to, iż można go przestudyować w przeciągu kwadransa. „Poemat bohaterski" — to tytuł ironiczny, w ironicznym też celu położono *motto* z Wallenroda („I swoich czasów śpiewak nie obwini, Bo jest mąż *wielki*..."), gdyż, według wyznania autora, wierszowana praca jego przeznaczona jest dla tych, „kto lubi się pośmiać." Zdaje się jednak, że nie wzbudzi chęci do śmiechu reporterskie powtórzenie szczegółów, dotyczących głośnej sprawy, zwłaszcza, jeżeli za przyprawę mają służyć rozwlekłe, najbanalniejsze w świecie, a niby to żartobliwe dygresye. Być może, istotnie „na tryumfalny łuk zasługuje, ...kto banalności *ni razu* nie powie, gdy dużo gada," — ale to autora nie tłomaczy, gdyż na nic *innego* nie zdobył się *ni razu.* Z wielką uciechą z tej powodzi słów nudnych i bezcelowych, a nieumiejętnie w wiersz rymowany wtłoczonych, wyłowilibyśmy bodaj jakąś niedorzeczność. Ale i to miarę natchnień p. W. K. przerasta. Chybabyśmy zatrzymali oko na takich kwiatkach, jak: „w księgach się długo ryłem," „policya budynek *okrążała,*" „przyznali *obwinieniu* racyę," wiek nasz „tak dobrze się *prowadził*" i t. p. Autor prosi nas o względność, gdyż jest „*novus* w rymotwórczej sztuce," a „gdyby czytelnik mógł to tylko wiedzieć, ile nad wierszem, co się przeczytuje lotem ptaka, poeta sobie krwi napsuje, szczególniej na początku..." Żałujemy, lecz po co się było tak męczyć? Autor nas przestrzega: „stosownie do tego, czy to dzieło przyjmiecie chłodniej, czy goręcej, zobaczymy się jeszcze, albo nigdy więcej." Nie będziemy się wdawali w ocenę wielkości straty, którąbyśmy ponieśli w razie spełnienia groźby, ciekawszą byłoby rzeczą rozstrzygnąć, jaką przyjemność dla siebie mógł znaleźć p. W. K. w rymowaniu swej „Dreyfusyady"? Domyślamy się. Piekielny miał zamiar, i już w myśli rozkoszował się widokiem, jak to „krytyka nawzajem za łby się pobierze z powodu dzieł *naszych*"! A więc baczność, koledzy! Nie dajmy się ułowić w tę matnię!

O ile „Dreyfusyada" lśni pogodą grecką, o tyleż inny poemat, „Opowieść lirnika" p. M. F. Urbańskiego przesiąknięty jest łzami. Aż kapie z każdego wiersza. W naiwnej przedmowie autor uprzedza nas, że utwory jego nie zdobyły dotychczas uznania (więc już jakieś były?), dlatego, że jest prawdomówcą. Bo „niech znajdzie się śmiałek, któryby prostował błędne drogi wybranych pieszczoszków," a natychmiast „literaci współcześni" gotowi urządzić nagankę, być może w obawie „o talent własny, aby nie runął, a przynajmniej nie zmalał." Nawet Słowacki dotychczas nie jest lubiony; nie dziw, „jak taranem walił w ciasne głowy potęgą prawdy." A dlaczego walił? Ponieważ „jedna prawda tylko wskazać może złe i dobre, *jak i* odróżnić jedno od drugiego." Czy „wskazać" i „odróżnić" są to w tym wypadku czynności odmienne? I co to wszystko znaczy? I jaki to ma stosunek do samej „opowieści"? Na czem polega „prostowanie błędnych dróg wybranych pieszczoszków"? Nic nie wiadomo. I nietylko przedmowa, wszystko w książce p. M. F. Urbańskiego jest naiwne: rym i wiersz, dykcya, pomysł, wiązanie wypadków, koloryt „opowieści" wreszcie. O stylu i wierszu da pojęcie kilka zwrotek i niech to starczy za ocenę. Razu jednego z boskiego natchnienia autor wyrusza za miasto. „Jeno blaskiem tajemnym migotały me oczy (skąd wie o tem?), Niby groźny, proroczy, Żar w wulkanie podziemnym... Tak w mych oczach coś drgało, *Coś takiego* gorzało(!). *Z tego pomnę* to jeszcze, Że gdy w twarz mi kto spojrzał, *Coś* uczuwał, by dreszcze, by strasznego coś dojrzał. Jam nie troszczył się o to I nie sierdził(?) w swej duszy Nad tej doli pustotą(?), Iż mi w oczy wciąż pruszy..." Jakiż związek ma ta rezygnacya z przestrachem przechodniów? Za murami miejskiemi wędrowiec nasz spotyka lirnika, który ni stąd ni zowąd zaczyna się przed nim spowiadać i oświadcza: „Ja nie mylę się w sądach, Nie rozwodzą w poglądach, Lecz co w duchu umyślę, To rozbieram już ściśle. Życie twardą opoką, Dodał, pełen *myślenia, Przyczem* westchnął głęboko." Tak nastrojeni, słuchamy w skupieniu. „Coś mnie dławi, zapiera, *Tudzież* serce rozdziera... Zgasła była już postać Tedy ojca mojego, Lepiej *przeto,* iż zacznę Opowieści rozpaczne *Aż* od niego samego. Rodzic „w rozumie był biegły, Miał *więc* mnogie majątki... I małżonkę—mą macierz I jednego mnie syna. *Wszystko pomnę,* jak pacierz, Co i jak się poczyna." Istotnie, któż może wątpić o biegłości w rozumie ojca, który miał majątek, żonę, i o szalonej pamięci

syna, który to wszystko, jak pacierz zapamiętał! I za każdem słowem, jak mówi M. Grosseckowa — „aż tu kap, kap i łezka.“ Niestety, ojciec ów „tak strasznie rozumny“ nietylko uciskał chłopów i szyderstwami ich smagał (ci łzami się wówczas zalewali), lecz i względem syna własnego, z przyczyn bliżej niedocieczonych, był „pełen nawet pogardy.“ Nie wziął go z sobą na łowy, a gdy się ten chyłkiem za nim wymykał, srodze mu pogroził; wziął jakiegoś pokrakę do domu, a gdy ten uciekł z żałości zmarł. Wówczas syn zabrał się za morze, szepcąc: „Panie życia momentów,“ Co tam robił niewiadomo, a, prawda: „brałem udział więc w życiu, Jakie wiodły tam stany...“ Wrócił tedy po to, by lirę swą przekazać autorowi. Zdaje się, iż za pomocą tego narzędzia odbywać się będzie prostowanie dróg błędnych... Panie życia momentów! Dziwnemi tory chadzają natchnienia lirników!

Otwieramy obecnie cokolwiek większą od poprzednich książeczkę p. Artura Gliszczyńskiego i już na wstępie wita nas miła niespodzianka. Przesuwają się tu żywe i plastyczne obrazy, powstają jakieś widma złowrogie i potężne. Oto gród wielki przeobraża się w naszych oczach w olbrzymie cielsko, co „żyje, rusza się i błyska ślepiem, oddycha obłokami pary.“ „Już czołem tonie w błękitach, już ręką zasięga szerzej niż starczy linii widnokręga—straszny, ogromny nad nizin padołem.“ Gdzieindziej wyda się nam, że jesteśmy naocznymi świadkami daremnych wysiłków w walce z szalejącym żywiołem, który krwawą i groźną na niebie łunę zawiesił. Zabrzmiały trąbki: sygnał do odwrotu. „Tylko nad czarną olbrzyma ruiną jedna gromadka nieco dłużej czeka.“ Żywił ją przecie ten potwór, co przed chwilą legł w gruzach, a wczoraj jeszcze patrzył groźnie „z każdego boku tysiącem okien jak oczów tysiącem.“

Na tomiku p. Gliszczyńskiego przy napisie „poezye“ widzimy cyfrę: I. Jego nazwisko chyba niezbyt często odbijało się o uszy czytelnika. Mielibyśmy wszelkie powody mniemać, że staje przed nami nowicyusz; poznajemy w nim jednak człowieka dojrzałego, i biegle władającego narzędziam pieśniarskiem, a jeżeli, bo i to rzec trzeba—nie olśniewa nas świetnością barw i oryginalnością pomysłów, umie przecież widzieć i umie czuć. Poezya jego „piękną“ nie jest. Wszak wyszła „z mroku i dymu.“ Na okładce widzimy szereg kominów fabrycznych, a ten las przykryły chmury ciężkiego, czarnego dymu. P. Gliszczyński jest poetą tych smutnych krajobrazów, które oczu nie weselą, i sercu nie dają rozradowania, lecz przeciwnie, napełniają je uczuciem troski, przygnębienia, beznadziejności. Serce poety płacze nad temi, co są „jak samotni tułacze wśród jesiennej słoty.“ — Autor nie jest obcy temu światu, który się w jego obrazach przegląda, nie jest biernym widzem tylko. Wydawać się może, że sam jest lub był jednym z trybów mechanizmu, co parą dyszy, a wchłania w siebie pracę ludzką, pot ludzki, istnienie ludzkie. Jeśli tak jest, czuje się bądź co bądź nie kółkiem, co pokornie biegnie obok innych i w ślad za innemi, lecz uczestnikiem doświadczonym wysiłków człowieka w pewnym kierunku. Ta świadomość napełnia go od czasu do czasu prawdziwą dumą. „Ponad pola matki ziemi, ponad ciasny szlak, wzbił się skrzydły potężnemi twórczej pracy znak. I silnemi wzniósł zamachy nowych czasów cud: zgrzytem maszyn wrace gmachy, wielki dumny gród!... By pierś dobra matki - ziemi mogła radość czuć, że najmłodsza—nad wszystkiemi tak się wzbiła Łódź. A więc w górę wznoś, tytanie, złoty sztandar twój! Skarbów po rodzinnym łanie rozlewając zdrój. Postęp, twórczość, myśl, co działa w bratnich sercach siej, jak duch dobry...“

Ale takie raźne nuty rządkim są u autora objawem. Wobec ogólnego kolorytu jego poezyj ów hymn na cześć Łodzi brzmi wprost, jak sarkazm bolesny. W niej znalazły swój wyraz wszystkie nędze, gniotące stłoczoną między kominami ciżbę. Oto dąży do knajpki urzędnik, co pisze lub liczy przez dzień cały, dla którego treścią życia—troska szara i szary znój. Tam biegnie gromadka dzieci. Żywi się łupem z wozów, dostarczających węgla do fabryki. Jednemu z malców koło pierś strzaskało. Rozlega się kolesny krzyk: „Nadbiegli ludzie i kłębek czerwony, co wił się na podłodze, zleli wody strugą.“ Zapóźno, spaliło się maleństwo. Matka wyrobnica zostawiła „bez opieki“ trzyletnią dziecinę. Pracownik z uczuciem wdzięczności spogląda na swą karmicielkę maszynę, a potwór żelazny czyha tymczasem na chwilę zwolnionej czujności... Głód, Rozpacz, Rozpusta i Zbrodnia, wszystkie jędze, co się na życie i szczęście człowieka spiknęły „o północy“ przybierają na się postaci widmowe i zwołują się na wiece w zaułkach... Nie mówię, żeby to wszystko było oryginalne, ale jest w tem ów przejmujący ton szczerości, który nam poznać daje, że poeta nie uderza w sentymentalno - filantropijny ton, lecz przeczuł, przebolał każdy obraz, każde wspomnienie, i każde z żywej dla siebie wywołał rzeczywistości...

Widoki nie zajmujące — prawda? Lecz dla tych, co wolą milsze wrażenia, ma autor na zawołanie wypróbowaną „lekcyę tańca.“ Trza się ślizgać jak po łodzie. Idź posłusznie za muzyką, z taktem w zgodzie, z losem w zgodzie! Bez porywów i wybuchów, w równej mierze i harmonii wszystkich skrętów, zgięć i ruchów głowy, ciała, nóg i dłoni... A do twardej nie leź ściany! Po co próżne borykanie? Łepek pęknie roztrzaskany, a mur twardy — pozostanie. Teraz ślicznie, równo, żwawo, w ciągłym plasie, w ciągłym wiciu, kręć się, kręć się w lewo, w prawo, w kółko, w kółko — tak jak w życiu.“

Z lutni swej p. Gl. wydobywa i inne tony. Chcieliśmy zwrócić uwagę tylko na dobitniejsze.

A. Drogoszewski.

Z MUZYKI.

Livia Quintilla, opera w 3 aktach Z. Noskowskiego, libretto według dramatu Rzętkowskiego napisał L. German.

Patrycyuszka rzymska, Liwia, zakochana w niewolniku greckim, Lykonie, który uwielbia swą panią; w Liwii kocha się pretor rzymski, Proculus; Silva, niewolnik, czarny charakter, zdradza przed Proculusem tajemnicę Liwii — oto postacie i kolizya uczuć, na których Rzętkowski osnuł niegdyś dramat jednoaktowy, a Z. Noskowski swą operę trzyaktową z prologiem i wstępem muzycznym.

W tym wstępie, czyli uwerturze, orkiestra podkreśla niektóre motywy opery. Jest z początku wielki rozmach, który jednak pod koniec słabnie.

Akt pierwszy, czy też prolog, najmniej muzycznie zajmujący, sprawia wrażenie utworu, wykonanego bardzo logicznie przez muzyka, któremu jednak treść ani razu nie przemówiła do duszy, nie wywołała natchnionego drgnienia twórczości. Z tego powodu akt ten najsłabsze na słuchaczach wywiera wrażenie. Jest to muzyka rozsądna; lecz blada.

W akcie drugim rozgrzewa się kompozytor. W duecie Lykona z Liwią są frazesy muzyczne niezmiernie szczere, doskonale obrazujące treść słowną; cały ów duet, zakończenie aktu drugiego i wstęp do trzeciego, to naczelne momenty opery. Groźba Proculusa, który posiadł tajemnicę urodzenia Liwii, wypowiedziana w akcie drugim, powraca w trzecim jako nieustanny zgrzyt, jakby *memento mori* dla rozkochanej patrycyuszki.

W akcie trzecim, w którym bohaterka poświęca własne życie, by uwolnić się od nienawistnego małżeństwa i uratować Lykona, muzyka jest znowu urzędownie tragiczna, przecież marsz weselny, poprzedzający śmierć Liwii, posiada jeden bardzo efektowny dysonansowy motyw, dwukrotnie przez trąby powtarzany. Po za tem marsz ten brzmi tak hałaśliwie, jak gdyby mury Jerycha zatrząść się miały od jego dźwięków.

Cała opera szła składnie; z wykonawców pierwsze miejsce przypada w udziale p. Kruszelnickiej; artystka wystudyowała rolę sumiennie, grała ją artystycznie, podnosząc w ten sposób poziom dość nieraz banalnych frazesów muzycznych, np. w akcie trzecim frazes *recitativo* Liwii, zwrócony do niewolników: „daję wam wolność,“ jest tak bezbarwny, iż odpowiadałby lepiej wyrazom „daję wam trzy grosze!“

Rolę Silvy może p. Didur zaliczyć do najlepszych swoich kreacyj. Stworzył on postać tak żywą i charakterystyczną, iż z podrzędnej wysunął ją na plan pierwszy.

P. Floryański śpiewał i grał Lykona poprawnie; znać było, że całą dozę poezyi, jaką znaleźć mógł w sobie, wlał w tę rolę, tylko że poezyi tej tak w głosie, jak i w grze scenicznej ma bardzo mało.

P. Grąbczewski był przyzwoitym pretorem, ale jak zwykle nie obrazował wcale swoich uczuć śpiewem; w grze jego jednak zauważyliśmy ożywienie rzadko widywane.

Remi.

Święto Griega. Kiedy na koncercie wtorkowym w Filharmonii ukazała się siwowłosa głowa kompozytora norweskiego, ogarnęło wszystkich pewne wzruszenie. Stanął oto na czele orkiestry największy bezsprzecznie z kompozytorów *żyjących*. Takie wartości maksymalne robią zawsze pewne wrażenie. Nie stanowi to bynajmniej o wartości twórczej Griega. Nie należał on nigdy do tych wielkich duchów, które spowiadają się w języku tonów z męki własnej i cudzej. Jeżeli talent jego jest bryłą szczerego metalu, to go rozdrobnił na tak nikłe grudki, że żadna z nich nie odbije się wiekuiście na pamięci ludzkiej. W wielkiej świątyni sztuki nie będzie on nigdy ogniem na ołtarzu, o który przychodzi się zapalać serca, lecz jednym z przedziwnie wycyzelowanych brylantów, który odrzuca dokoła cudne refleksy. Podobno stworzył on narodową muzykę norweską. Być może. Zdaje się jednak, że z życia ludu swego i z życia duszy swojej wydobył na jaw nie to, co jest jego głębią i nurtem, lecz to, co jest jego powierzchnią i pianką. Nazywano go także Chopinem Północy. Jest to wielkie nieporozumienie i duży komplement dla Griega i dla Północy. Nas jednak, przyzwyczajonych do posępnych majaczeń olbrzymów skandynawskich (Ibsen i jego rodzina), dziwnie nęci kryształowość i pogoda pieśni młodego starca. Zdaje się, jakoby tętnił w nich rytm zaskórny rodzącego się życia, a chwilami wytryskał strumień jakiejś wiekuistej, nieśmiertelnej wiosny. Pachnie tam świeżością zaoranej o wiośnie ziemi i rosą budzących się o świcie kwiatów. Jest to mistrzostwo formy w najszerszem, najpiękniejszem i najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Jego melancholia nawet nie jest zwątpieniem głęboko czującej duszy, lecz zadumanym i tęskniącym uśmiechem młodej, pięknej kobiety.

We wtorek ułożono z tych kwiatów wielki bukiet o niezwykłym smaku i wykwintności. Pieśni Griega śpiewała p. Wiborg, artystka o nieszczególnej piękności głosu,

lecz o silnym wyrazie w śpiewie. Koncert fortepianowy grała p. Carreno. Nie wiem, czy tłumom, rozentuzyazmowanym kuglarstwem Godowskich itp., przypadło do smaku przepyszne wirtuozostwo techniki tej artystki. Orkiestrę przygotował sam kompozytor w taki sposób, że nie poznawało się zupełnie tego zazwyczaj bezmyślnego i ospałego organizmu (zwłaszcza w znanej suicie z Peer Gynta). Było to prawdziwe święto Griega. *w. s.*

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYA. K. Woyczyński: „Z młodocianych snów," str. 70. Gebethner i Wolff.

— K. Przerwa-Tetmajer: „Wrażenia." Gebethner i Wolff.

— St. Barącz: „Impresye." Księgarnia Polska, Lwów, skład u Wendego w Warszawie.

— W. Zalewski: „Skrzydła wichrowe." Gebethner i Wolff.

— E. Słoński: „Noc" (W gasnącej zorzy, Tęsknota, W mroku, W szumiącym lesie, Sonety), wyd. Borkowskiego.

POWIEŚĆ. Wł. Reymont: „Przed świtem," „Pewnego dnia," „Sprawiedliwość." Gebethner i Wolff.

— Józefat Nowiński: „Życie i marzenie." Nakład Towarzystwa wydawniczego, Lwów, skład u Sadowskiego.

— M. Wierzbiński: „Akwarele angielskie." Nakł. Tow. wyd., Lwów, skład u Sadowskiego.

— K. Gliński: „Pan Filip z Konopi." Gebethner i Wolff.

— Arne Garborg: „Utracony ojciec," przekład, wyd. Warsz. Spółki nakł.

— Dagny-Przybyszewska: „Krucze gniazdo," dramat w 3 aktach. Nakł. J. Fiszera.

— R. Kipling: „Druga księga puszczy," przekład J. Czekalskiego. Gebethner i Wolff.

HISTORYA. J. I. Kraszewski: „Polska w czasie trzech rozbiorów," tom I, z ilustracyami. Gebethner i Wolff.

— P. Ch.: „Nad Wartą i Wisłą przed wiekami,"

PODRÓŻE. J. Sztolcman: „Nad Nilem Niebieskim" (wyprawa myśliwska Józefa hr. Potockiego do Sudanu), nakł. „Łowca polskiego," skład u Wendego.

POEZYE

Wyjdzie anioł...

Arcymistrzów ojciec, Czas,
Cyklopowy dzierży młot;
Razów częsty sypiąc grzmot,
Kuje dziejów twardy głaz.

Nad nim gwiazdy krążą w tan
Słońce wieczny wznawia bieg.
Pod nim ludów żywy łan
I jęczącej ziemi brzeg.

Nieraz orkan w twarz mu dmie,
Nieraz piorun huczy w krąg—
On nie puści młota z rąk—
Niech się ludzkość korzy, gnie!

Świat młotowi dudni wtór,
Z czoła mistrza ciecze pot;
Lecz wciąż niestrudzony młot
Doskonalszy kuje twór...

Karły mu na ziemi klnąc,
Zrozpaczone idą w grób;
Bogi padły mu do stóp,
Przed potęgą jego drżąc.

A on kuje w dzień i w noc,
Żaden go nie zmoże trud;
Wciąż wprawniejszą ćwiczy moc,
By wiekowy stworzyć cud.

Ale darmo sztuczny raz,
Wytężonych mistrza sił,
Życie ducha sączy w głaz,
Dziecię martwych jeszcze brył.

I upłyną wieki lat,
Nim olbrzymi spocznie młot,
Nim przestanie trwożyć świat
Częstych razów głuchy grzmot.

Ale wtedy z mistrza rąk
Wyjdzie anioł w blaskach cnót—
I spełniony będzie cud
I cel wielki długich mąk.

Campanella.

SPRAWY EKONOMICZNE

Teorya o przesileniach wobec faktów.

IV.

Dalej, wziąć należy pod uwagę, że forma kredytu przemysłowego nie jest bynajmniej jedyną, ani nawet najwcześniejszą formą, wpływającą na przesilenie. Kredyt handlowy odgrywa tu znaczniejszą jeszcze rolę, a ta forma została w ostatnim okresie kapitalistycznym szczególnie udoskonaloną, rozszerzoną. Dyskontowanie weksli, lombardowanie towarów, jest dziś niezmiernie ułatwione. Stąd wielka „elastyczność" współczesnych stosunków handlowych. Elastyczność tę Bernstein uważa właśnie za czynnik przeciwdziałający przesileniom. Fakty ostatniej doby przekonywają zgoła o czem innem. W okresie pomyślnej konjunktury widzimy niesłychanie szybki wzrost obrotów w wielkich bankach. Weźmy np. sumę obrotów wekslowych niemieckiego banku państwowego. Obroty te wynosiły w milionach marek: w roku 1890—5489,5; w 1892—4994,0; w 1894 — 4782,9; w 1896 — 6288,7 w 1898 — 7363,8; 1900 — 8763,8.

To znaczy: w porównaniu z pięcioletnim okresem od 1890—95, drugi okres doprowadził niemal do zdwojenia obrotów. Gdybyśmy posiadali statystykę obrotów wszystkich innych banków, wzrost zapewne byłby daleko jeszcze większy, gdyż bank państwowy dyskontuje li tylko weksle pierwszorzędne, a okresy pomyślnej konjunktury odznaczają się tem właśnie, że banki prywatne dyskontują wówczas weksle nader pohopnie. W każdym razie, takiego jak teraz rozszerzenia kredytu nie zauważono w żadnym jeszcze okresie rozkwitu wytwórczości. Lecz to rozszerzenie od przesilenia nie uchroniło, przeciwnie, są dowody, że je zaostrzyło. Śledząc bowiem przebieg konjunktury, łatwo zauważyć, że w chwili przełomowej, w każdym kraju banki z konieczności poczynają ograniczać kredyt. Pierwsze paniki giełdowe miały ten skutek, że wielkie banki podwyższyły dyskonto, broniąc swoje rezerwy (wyjątek stanowi tu tylko rosyjski bank państwa, który przy pierwszych oznakach przesilenia starał się nieść pomoc, rozszerzając kredyt); to zaś utrudnienie musiało dobić cały szereg zachwianych przedsiebiorstw. Nadużycie kredytu wypowiedziało się w ten właśnie sposób.

Możemy obecnie punkt za punktem sprawdzić teoryę autora „Kapitału" o wpływie kredytu na przesilenie: Kredyt wywołuje spotęgowanie produkcyi do ostatnich granic, staje się „główną dźwignią nadprodukcyi i nadmiernej spekulacyi," ponieważ „proces reprodukcyi, który z natury swej jest elastycznym, zostaje wyzyskanym do ostateczności... Dlatego system kredytowy przyspiesza materyalny rozwój sił produkcyjnych i utworzenie rynku wszechświatowego. Zadaniem historycznem formy kapitalistycznej jest właśnie jej udoskonalenie do pewnego stopnia rozwoju, jako podstawy nowej postaci produkcyi. Jednocześnie kredyt przyspiesza zatargi gwałtowne tej sprzeczności, przesilenia, a tem samem pomnaża czynniki rozprzężenia starej postaci produkcyi" (tom III, część I, str. 428). Jeżeli do tej teoryi potrzeba wnieść pewne uzupełnienia, to raczej w kierunku wręcz przeciwnym, niż chcą różni „rewizyoniści" z Bersteinem na czele. Mianowicie: powinno się uwzględnić obostrzenie sprawy przez zjawiska nieznane dotąd jeszcze. Do takich, zdaniem naszem, należy komplikacya, wynikająca ze skojarzenia spekulacyi czysto kupieckiej z ażyotażem. Tak naprzykład: z chwilą powstania syndykatów, „regulujących ceny," matadorzy przemysłu przy ustanawianiu cen towarów mają oko zwrócone jednocześnie na rynek towarowy i giełdę. Chodzi mianowicie o to: klienci syndykatów są zainteresowani w znacznej części w zwyżce kursów akcyj przedsiebiorstw danego syndykatu; może wtedy zachodzić taka okoliczność, że położenie rynku nakazuje stopniowe ograniczenie produkcyi i obniżenie cen, ale ponieważ taki krok spowodowałby natychmiast i zniżkę kursu akcyj na giełdzie, przeto redukcya taka nie nastąpi; wskutek tego wytwórczość zostaje utrzymaną na dawnym poziomie, dopóki tylko można, aż w końcu nadprodukcya staje się jawną, a wtedy następuje tem gwałtowniejsza reakcya. Zachodzą przytem nawet jeszcze dalsze komplikacye, czego dowody mieliśmy niedawno na rynku metali w Londynie: Dnia 20 grudnia spadły tu ceny o 10—15%; przyczyną były bankructwa wywołane spekulacyą. W r. 1899 w czasie najwyższego ożywienia w handlu powstał w Ameryce trust miedziany „Amalgamated Copper Company"; połączył on 11 najbogatszych kopalń miedzi w Stanach Zjednoczonych i w ten sposób opanował produkcyę amerykańską. Kapitał wynosił 155 milionów dolarów, w tem połowa była t. zw. *goodwill*, to znaczy, że na połowę tej sumy dano akcye dotychczasowym posiadaczom kopalń za „dobrą wolę" przyłączenia się do trustu. Jedynym poważnym konkurentem trustu była kompania Rothschildów, eksploatująca niezmiernie bogate kopalnie miedzi Rio-Tinto w Hiszpanii. W r. 1900 popyt na miedź zmniejsza się wskutek przesilenia w przemyśle elektrotechnicznym; trust amerykański nie obniżył cen jednakże w kraju, a starał się zepchnąć nadmiar produkcyi do Europy, gdzie wybuchła formalna walka na zniżkę pomiędzy trustem a Rio-Tinto; w ten sposób utrzymywano ceny wysokie, i wysoki jednocześnie kurs akcyj trustu. Ta taktyka musiała doprowadzić w końcu do strat olbrzymich, i oto teraz trust ogłosił dywidendę kwartalną (w Ameryce wypłaca się zyski nie rocznie, lecz kwartalnie) 1% zamiast 2%, jakie wypłacano dotąd od założenia trustu. To spowodowało spadek akcyj, wskutek czego zbankrutowała firma „Kekewich and C-o," która handlowała miedzią i akcyami trustu. Taki obrót wywołał panikę, gdyż jasnem się stało, że trust nie będzie w stanie utrzymać cen dotychczasowych, więc zapasy nagromadzone zostaną rzucone na rynek, a wówczas ceny spadną. Charakterystycznem zaś jest, że panika ogarnęła nietylko handlarzy miedzią, lecz jednocześnie i handlarzy żelazem, cynkiem, cyną i ołowiem, ponieważ i tu rynek znajdował się już oddawna pod wpływem spekulantów zagranicznych w różnych trustach. I rzeczywiście, ogłoszono wnet bankructwo drugiej wielkiej firmy „Sargant and C-o," handlującej żelazem i cynkiem. Tu więc polityka handlowa trustu pociągnęła za sobą ażyotaż akcyami, co doprowadziło do krachu, a ten krach odbił się na rynku towarowym.

Lecz tu wkraczamy już w dziedzinę operacyj trustowych i należy nam się rozejrzeć w trzecim czynniku — wpływie związków przemysłowców na przebieg przesilenia.

O syndykatach, kartelach i trustach Bernstein twierdzi, że przeciwdziałają nadmiernemu „rozdęciu produkcyi“ przez jej „regulowanie.“ (*Voraussetzungen*, str. 76). Ażeby sprawdzić to twierdzenie, rozporządzamy faktami z dwóch krajów, w których związki przedsiebiorców odgrywają bardzo poważną rolę — Stany Zjedn. i Niemcy.

W Stanach Zjednoczonych dotąd przesilenia jeszcze niema, przeciwnie, jeszcze w roku 1091 widzimy tam nieprzerwany wzrost produkcyi i kwitnący stan interesów. Przyczyny tego zjawiska należy szukać w tem, że wskutek polityki celnej Mac Kinleya rzeczpospolita amerykańska stworzyła dla siebie warunki rozwoju, które musiały doprowadzić do rozbudzenia wszystkich sił produkcyjnych; „uprzemysławianie“ odbywa się tu w ostatnich dwudziestu latach z zadziwiającą szybkością. Jednocześnie polityka imperyalistyczna zapewniła kapitalistom amerykańskim możność rozszerzenia: rzucili się oni do eksploatacyi wysp zdobytych na Hiszpanii, powiększyli swój rynek zbytu przez wtargnięcie do Chin, a przedewszystkiem do Japonii. Siły produkcyjne tego olbrzymiego terytoryum mogą więc chwilowo rozwijać się z całą swobodą. Pomimo to, a raczej właśnie dlatego, Stany przechodziły w ostatnich czasach kilka nader gwałtownych przesileń. W r. 1892 i 1896 były tu krachy wprawdzie krótkotrwałe, lecz zato tem intensywniejsze. To też nie brak bynajmniej oznak, że obecnie, pomimo pozornie kwitnącego stanu interesów, znów się zbliża huragan ekonomiczny. Wtedy dopiero, gdy ta klęska zwali się na yankesów, będzie można ocenić z zupełną dokładnością, jaką rolę odegrały związki przedsiebiorców w warunkach pod każdym względem dla siebie pomyślnych. Już teraz bardzo wyraźnie zarysowują się niektóre cechy, niepozwalające wątpić o ogólnym charakterze trustów amerykańskich. Są one mianowicie niemal wszystkie bez wyjątku obliczone na spekulacyę. Spekulacya ta odbywa się jednocześnie na rynku towarowym oraz na giełdzie akcyami trustowemi.

Dr. J. B. Marchlewski.

List otwarty do Redaktora „Prawdy.“

Szanowny Panie Redaktorze!

Pański list otwarty pod adresem redakcyi *Wschodu* (nr. 15 *Prawdy*) w dobie, gdy rozrasta się nowotwór syonistyczny, wywołał zapewne śród współplemieńców moich wybuchy namiętnego oburzenia. Potrzeba, ażeby ci Żydzi, którzy wrośli w pień danego narodu aryjskiego i oderwać się od niego „ani chcą, ani mogą“ zaświadczyli publicznie, żeś Sz. Pan zrozumiał ich dusze, że godzą się oni z treścią Twoich poglądów. W imieniu ogromnej ilości tak myślących i czujących współplemieńców pozwalam sobie to uczynić, a mam śmiałość wziąć ten obowiązek na siebie z następujących powodów: Przez całe życie należałem do tych, którzy nie wstydzili się swojego pochodzenia, którzy nie starali się zakryć go przed obcem okiem; o ile w skromnej mojej działności pisarskiej wypadało mi dotknąć kamienia obrazy dla wielu moich. Kwestyi żydowskiej dawałem jasny wyraz sympatyi dla tych, z których grona pochodzę; nie należałem nigdy do tak częstego dawniej, a i dziś niewygasłego typu Żyda - żydożercy; rozumiałem zawsze znaczenie pewnych różnic etnograficznych, liczyłem się naukowo z ich znamiennem duchowem piętnem, z dobrymi i złymi skutkami socyalnymi tych różnic. Nie kładłem również nigdy na siebie, ani umyślnie, ani mimowoli, maski fanatycznego szowinizmu dla upodobnienia się z tymi, których język, literatura narodowa, ideały stały mi się blizkiemi stąd, że mogę czuć i myśleć tylko w tym języku, w którym od lat młodych żyję i piszę; nie kładłem tej wstrętnej maski na wzór innego rysami oblicza, którego szowinizm krwią usprawiedliwić można; nie powinienem więc być posądzonym o schlebianie narodowi, śród którego los kazał mi się urodzić, o uniżoność i służalstwo celem wkupienia się do „nie swoich.“ Nie przeklinałem swojego pochodzenia wówczas, gdy wielu z tych, co dziś mienią się syonistami, oburzając się w głębi duszy, że zarzucają im, iż są Żydami, jawnie wstydzili się tego imienia. Równowaga, którą potrafiłem zachować, pozwala mi dziś śmiało wyrzec swoje zdanie o szkodliwych i złych ideowych stronach syonizmu.

Przyznając temu ruchowi płodność i pożyteczność w możliwych skutkach ubocznych, o ile ma na celu emigracyę takiej nadwyżki ludności żydowskiej, której żołądek polski strawić nie jest w stanie; pojmując emigracyę, jako konieczność, wywołaną przez warunki materyalne, występującą nawet tam, gdzie jednolita ludność zmuszona jest do groźnej walki konkurencyjnej i spotęgowaną w danym wypadku, gdy niechęć konkurencyjna kieruje się prześladowniczo przedewszystkiem przeciw żywiołowi entnograficznie i obyczajowo różnemu, zgodnie ze smutnem prawem trafnie ochrzczonej przez Renana „nienawiści zoologicznej śród ludzi“ — mniemam, że kwestya żydowska niesłusznie zwracaną jest przez syonistów z właściwego ekonomicznego łożyska w łożysko narodowościowe. Ztąd wyrastają mnogie błędy ideowe.

Z moich obserwacyj, poczynionych zwłaszcza w Cesarstwie, gdzie mieszkam od dłuższego czasu, wyprowadzam wniosek, że syonizm wywołał narodzenie się mocno niemiłego i cywilizacyjnie szkodliwego typu „bojującego Izraela.“ Gdy dawniej pokrzywdzona w Żydach godność ludzka domagała się słusznie, aby uznano w nim *równego* Aryjczykom człowieka, gdy żądała przyznania Żydowi należnego mu prawa do równej szlachetności myśli i serca, dziś nowonarodzony szowinizm żydowski zaczyna się wylewać z tych naturalnych granic i tam półgębkiem, owdzie krzykliwiej, przemawiać o wyższości wielowiekowej kultury semickiej nad aryjską, o *wyższości* Żyda nad Aryjczykiem. Ta mara wybraństwa, którą upajać się może ciemny motłoch żydowski, naraz odbiła się łuną na szczytach cywilizacyjnych plemienia żydowskiego i drażni stamtąd oczy narodów. Gdy dawny Żyd kulturalny rumienił się słysząc, że go pytają o pochodzenie, a często gęsto, gdy go Żydem nazwano, zaprzeczał prawdzie, co było haniebnem, dziś bez potrzeby biegnie za Aryjczykiem, chwyta go za połę i niepytany woła tryumfalnie: „ja jestem Żyd“ — co jest już śmiesznem. Mieli prawo Żydzi hiszpańscy na przełomie wieków nowych i średnich — astronomowie, poeci, filozowie, doktorzy, uczeni, ministrowie, czasem lekarze papieżów — ze wzgardą spoglądać na ówczesne ciemne masy ludowe Aryjczyków. Ale dziś nie mają prawa zapominać o tem, że przez wiekowe zamknięcie w obrębie pełnego nędzy *ghetta* zepchnięci zostali w ciągu całych wieków na poziom ciemnego fanatycznego motłochu, że nowa wspaniała kultura aryjska wessała już w siebie wszystkie żywotne soki przedwiekowej kultury semickiej, że wetchnęła przedewszystkiem jej pierwiastki etyczne (dziesięcioro przykazań); że rozwinęła je idealistycznie w kierunku, równie idącym z Palestyny—chrześciańskim; że ci Żydzi, co dziś cywilizacyjnie stoją na poziomie umysłowym innych narodów, odrodzili się na gruncie tej nowej aryjskiej kultury, biorąc „bilet wstępu“ do cywilizacyi chrześciańskiej, czy przez chrzest, jak Heine, czy naogół bez chrztu; że w najlepszych swoich jednostkach stali się dzielnymi współpracownikami tej kultury, wnosząc w nią nowe, bogate tony odrębnych swoich dusz; że pożyteczny ich współudział okazał się tem bardziej wartościowym, iż oderwanym od przesądów swojej grupy etnograficznej, a nie zarażonym przesądami tej, do której się zbliżyli, łatwiej było sprzymierzyć się wszędzie z ruchem postępowym ludzkości ku jej najwyższym i najpiękniejszym ideałom, że w tej roli, która może być jedyną jeszcze ich misyą, zwiększyli pęd aryjskiej kultury i nadali niektórym jej stanom pewien cenny koloryt; że idąc ręka w rękę z innymi narodami, z którymi się zasymilowali, są właśnie na przedłużeniu fali dawnego semickiego potoku, tylko już nie w ciasnych dawnych granicach, ale na pełnem morzu, do którego ten potok wlał się, mieszając swoje wody z ogromem innych fal cudownych! O tem wszystkiem zapomina właśnie syonizm, a starając się gwałtem na jakichś innych, nierealnych drogach powiązać tętno współczesnego życia żydowskiego z zamarłą przedwieczną kulturą, nie rozumie, że albo wypadnie mu cofnąć się aż do ujścia potoku, tj. wyrzec się bogactw naturalnego rozwoju i zacieśnić do dawnej ciemnoty, lub na każdym kroku pełnemi garściami przyjdzie czerpać z bogactw kultury aryjskiej, co będzie zaprzeczeniem ciasnej idei narodowo-semickiej, potępieniem syonizmu przez samych syonistów, choć oni w zaślepieniu tego nie pojmują. Nacyonalizm żydowski nie jest naturalnym wykwitem wzmożonych sił kulturalnych tego plemienia, bo te, o ile są odrębne w charakterze, mogą stanowić zaledwie zasilające obcy pień soki uboczne, ale w granicach odrębności nie są dość obfite, ani bogate, aby bez obcych soków, z którymi się wciąż mieszały, i od których nabierały sprawności, zapłodnić grunt dla nowej, cywilizacyjnie odrębnej narodowości; poprostu nie miały czasu rozwinąć się w tym kierunku, co więcej, nie było po temu istotnej potrzeby. Nacyonalizm żydowski jest wyrobem sztucznym, jest patryotyzmem fabrykowanym, wymuszonym, wmówionym na gwałt, jest reakcyą przeciwko cudzej niechęci, którą Żydzi zwalczali dotąd, zyskując sobie przyjaciół śród najlepszych, najpostępowszych żywiołów innych narodów, którą obowiązani są zwalczać dalej na tej samej drodze, a nie wyrzekać się owej drogi dlatego, że dziś urosłym w dumę i godność wydaje się, iż ta walka idzie zbyt powolnie, że jest mozolną, gdy inną nie może ona być z natury rzeczy, gdy wszedłszy na inne tory, tylko niechęć zaostrzy i zgotuje nie zwycięstwo lecz pogrom, rozszerzając antysemityzm na te placówki, z których on zdawna ustąpił. Na wulkanicznym gruncie nic trwałego budować nie można; niepodobna tedy opierać narodowości na fundamencie nienawiści obcoplemieńców i innowierców, jakkolwiekby ona była potężną. Ostatecznie nacyonalizm żydowski jest tylko dalszym ciągiem ogólnego prądu reakcyjnego, jest odbiciem na gruncie żydowskim tej zaostrzonej nienawiści narodów, która przecie jest objawem nie stałym, lecz przejściowym, chwilowo koniecznym, ale niepożądanym, jest złem, którego Żydzi pogarszać nie powinni, krocząc w jego ślady. Żydom zawsze działo się o tyle lepiej, o ile ludzkość szła drogami większej humanitarności; i właśnie im, rozsianym śród rozmaitych narodów, przystoi, aby głosili idee zgodnego współżycia ludów, łączenia się na drodze postępu, w pochodzie do wspólnych ideałów—wytyczne punkty tego kierunku, kto pomyśli, łatwo sam odnajdzie; tymczasem ulegając obecnej reakcyi przez stworzenie własnego szowinizmu Żydzi niosą krzywdę innym narodom, a w pierwszym rzędzie—samym sobie, bo potęgują nienawiść innych ku sobie, gdy miłością swoich w olbrzymiem obcem środowisku wyżyć nie będą w stanie.

Dlatego strach mnie przejmuje, gdy widzę, jak syoniści poczynają wykonywać rozmaite akrobatyczne sztuki, jakieś ideowe koziołki. Sceptyk, autor „Konwencyonalnych kłamstw,“ człowiek rozważny, do fanatyzmu niezdolny,

Nordau, chce udawać żydowskiego szowinistę. Ludzie nowej cywilizacyi pragną wskrzesić starą hebrajszczyznę, zatracić drogie siły na przystosowanie zdawna martwego języka do całego arsenału nowych, obcych temu językowi pojęć i czynią to w tym samym czasie, gdy nowe, rozumne prądy pedagogii wypędzają martwą greczczyznę i łacinę ze szkół; w zeschłe żyły trupa językowego wstrzykuje się farbowane soki i tworzy się się gwałtem niby żywotną literaturę; z języka modłów i scholastyki średniowiecznej, z języka pisanego, godnego studyów Renana, potrzebnego specyalistom uczonym Żydom lub nie-Żydom, chce się uczynić mowę żywą całych pokoleń. Nie chce się widzieć, że to wszystko, co w dźwiękach mowy hebrajskiej było pięknem, już przetopionem zostało na nowe języki, że tą drogą hymny hebrajskie wsiąkają w poezyę współczesną bez potrzeby zachowania litery języka. Mówi się o jakiejś nowej sztuce żydowskiej, gdy jasnem jest, że Żydzi ani malarzami, ani rzeźbiarzami nie byli, bo być nimi nie mogli, jak ich semiccy krewni, Arabowie, z przyczyn między innemi religijnych, że ich malarstwo i rzeźba, rozwijające się dzisiaj, zaszczepionemi zostały na pniu sztuki aryjskiej, że wielkie talenty żydowskie, które w tej dziedzinie zjawiły się dzisiaj, mogą posiadać pewne cenne znamiona duchowe, ale wszystko, co tworzą, jest tylko tonem w akordzie harmonijnym sztuki powszechnej, a nie jakiemś palladium ducha narodowego. Źle zrozumiana godność własna sprawiła, że Żydzi inteligentni niepomni na to, iż Spinoza wskazał im, przez jakie wrota idea religijna wysunąć się może na horyzonty filozoficzne, poczynają w sferze pojęć religijnych cofać się ku dogmatyzmowi tłumów. Sądząc, że porwą ciemne masy ze sobą, dają się przez nie sami porywać; szukając wspólnego z tłumami ludowymi gruntu, muszą godzić się na odwieczne, przesądne wierzenia, na cały aparat obrzędów, śród których są takie, jakich w świetle dnia dzisiejszego praktykować nie powinni. Znaki na ciele, jako znamiona sojuszu człowieka z bóstwem, są właściwością epoki barbarzyńskiej; i gdyby nawet dowieść się dało, że miejscowe warunki gorącego klimatu, a nawet pewne powody po za miejscem powstania danego zwyczaju i dzisiaj nadają mu pewne znaczenie hygieniczne, kłamstwem nie do wybaczenia, krętactwem i sofizmem jest powoływanie się na hygienę, gdy chodzi o obrzęd ściśle religijny, a temu i wszystkiemu innemu syoniści zmuszeni są przyklasnąć. Usprawidliwiona wyrozumiałość na przesądy ludu, z chwilą, gdy staje się uroczystem przytakiwaniem i zgodą na wszystko, traci prawo do szacunku.

Niewątpliwie, piękną stroną syonizmu jest to, że zdołał on po raz pierwszy zainteresować inteligencyę żydowską niedolą mas ludowych, że wskazał Żydom, stojącym po nad ciemnemi warstwami, iż obowiązkiem ich jest, aby sami wzięli się do rozplatania węzłów kwestyi żydowskiej, aby nieśli pomoc masom współplemieńców. Ale bezwarunkowo zapędził się zbyt daleko, podnosząc w tym celu sztandar nacyonalizmu. Czem szczerzej to uczynił, tem więcej przeoczył, tem więcej szkód poniesie, rodząc fanatyzm, uniemożliwiając asymilacyę, która jest dla Żydów prawem historycznego postępu, bo o ile nie asymilowali się, stali nieruchomie na miejscu, a dziś chcą się cofać jeszcze. Jeżeli zaś syoniści tłomaczyć się będą, że nie są zupełnie szczerzy w swojem wykrzykiwaniu haseł narodowych, że włożyli tylko na siebie pewną maskę, ułatwiającą im zbliżenie się do ludu celem wyprowadzenia go z egipskiej niewoli ciemnoty, również nie rokuję im powodzenia. Nieszczerość, fałsz nie mogą ostać się długo. Jednym maska przyrośnie do twarzy i zastąpi dawne oblicze nowem, sfanatyzuje ich samych, zamiast pomódz do odfanatyzowania swoich. Innym maska zaciąży i rychło ją odrzucą, z syonistów stając się może prawem reakcyi Żydami - judofobami. Zresztą i tłumy odkryją rychło ich nieszczerość. Rabini nie pójdą za neo - Żydami i zgorszą się nimi szybko, gdy dostrzegą że inteligencya nie czyni im ustępstw, a żąda reform. Niesnaski, spory, sekty w łonie syonizmu oto przewidywany, a bodaj już rozpoczęty stan rzeczy. Bo należało znaleźć, choć to trudniej, inną drogą, inne, szczere sposoby, należało pomyśleć o reformie, ujętej w ręce silne, czasami druzgoczące to, co już jest zbyt stare, czasem cierpliwie powstrzymane, ale nie dorzucające cegieł ze starych materyałów do gmachu, który wymaga gwałtownych przeróbek, a częściowo zwalenia; należało stworzyć cały system opiekuńczy, celem wydźwignięcia ludu żydowskiego z nędzy i ciemnoty, stworzyć ten system pod hasłem nowoczesnego postępu, oświaty, dobrobytu — a nie elektryzować mumie przeszłości mrzonkami nacyonalizmu, bo za to życie zemścić się może zbyt srogo... Kończę: nie pracę syonistów potępiamy, bo ta na wielu punktach warta uznania, lecz jaskrawy koloryt naczelnego hasła!...

Z głębokim szacunkiem

Leo Belmont.

Petersburg, 14 kwietnia 1902 r.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W celu unormowania dnia roboczego dla urzędników pocztowych, zarząd okręgu pocztowo-telegraficznego polecił sporządzić wykaz podziału zajęć w biurach mieszanych poczty i telegrafu. Następnie zarząd przystąpił do opracowania normalnego podziału pracy w każdym wydziale, według warunków danej miejscowości. W tych biurach, gdzie wysyłanie i odbieranie poczty odbywa się w nocy, etat urzędników będzie powiększony.

— Sekcya im. Moniuszki w d. 20 b. m. zamknęła dziesięcioletni okres swego istnienia. W ciągu tego czasu dochód wynosił 18,565 rb., rozchód 18,175 rb., pozostało 390 rb.; majątek w wydawnictwach oceniony jest na 10,745 rb.; prócz tego biblioteka i pamiątki zgromadzone przedstawiają cenny materyał do przyszłego muzeum im. Moniuszki. W chwili założenia sekcyi było 16 członków, w roku bieżącym liczba ich wynosi 550.

— Sekcya skarbowa miejska we Lwowie uchwaliła 500 koron zapomogi dla komitetu zajmującego się zakupieniem w Konstantynopolu domku, w którym umarł Mickiewicz.

— Bank ziemski w Poznaniu ogłosił sprawozdanie za r. 1901, które wykazuje, że kapitał zakładowy tej instytucyi wynosił 50,000 m., akcye I, II i III emisyi 2,922,843 m. 58 f., fundusz rezerwowy 150,222 m. 6 f. Obrót ogólny przedstawia się w cyfrze 10,953,635 m. 76 f., zysk czysty do podziału 161,726 m. 43 f. Akcyonaryuszom przyznano 4 proc. dywidendy, reszta zysków przelana została do funduszu rezerwowego.

Chopin. Ponieważ złożenie zwłok Fr. Chopina na Wawelu okazało się niemożliwem, a rodzina nie życzy sobie, aby spoczęły w innem miejscu, przeto komitet, zajmujący się tą sprawą, na odbytem we Lwowie posiedzeniu postanowił zamienić się na komitet budowy pomnika Chopina.

Szkoły. Powstał projekt założenia szkoły niedzielnej dla praktykantów fabrycznych, gdyż z istniejących szkół niedzielno-rzemieślniczych korzystają tylko uczniowie pracujący u majstrów cechowych.

— Programy czteroklasowych szkół miejskich i początkowych mają być zmienione. W szkołach miejskich postanowiono wprowadzić naukę języków nowożytnych, oraz powiększyć liczbę godzin, przeznaczonych na naukę rysunków i nauk przyrodniczych. W szkołach początkowych wprowadzony będzie wykład krajoznawstwa i rozszerzony program arytmetyki. W celu rozważenia tego projektu zwołany ma być wkrótce zjazd dyrektorów i inspektorów szkół ludowych.

— Ministeryum oświaty poleciło, aby wykłady fizyki w średnich zakładach naukowych prowadzono z doświadczeniami praktycznemi, skutkiem czego mają być rozszerzone gabinety fizyczne a przyrządy, o ile ich niema w kraju, sprowadzone z zagranicy.

— Grono pedagogów, powołując się na art. 2 nowo zatwierdzonej przez ministeryum oświaty ustawy dla szkół średnich, postanowiło założyć w Warszawie prywatne siedmioklasowe gimnazyum filologiczne, na którego czele, jako przełożony, miał stanąć prof. A. Kryński przy współudziale dyrektora kontrolera, prof. Struvego, Kaszewskiego i Plenkiewicza. Zamiar ten jednak ulegnie zmianie, gdyż kurator okręgu naukowego, warszawskiego oznajmił, że na mocy przepisów istniejących w Królestwie Polskiem można otwierać tylko czteroklasowe szkoły prywatne.

— W Kamieńcu Podolskim powstanie 8-klasowa szkoła techniczna.

Wystawy. Towarzystwo słowiańskie w Petersburgu urządzi w jesieni r. b. wszechsłowiańską wystawę artystyczno-przemysłową.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty otworzono wystawę prac artystów malarzy Józefa Rapackiego i Stefana Popowskiego, oraz obrazów olejnych, pasteli, akwarel, rysunków, litografij, akwafort i rzeźb artystów polski, ze zbioru p. F. Jasieńskiego.

Jubileusz. D. 4 maja obchodzoną będzie w Krakowie 40 rocznica pracy literackiej dr. Adama Bełcikowskiego.

Konkursy. Rozstrzygnięto konkurs, ogłoszony na *ex libris* dla Muzeum narodowego w Krakowie. Z 45 nadesłanych wzorów nagrodzono pracę p. J. Bukowskiego, wyróżniono zaś oznaczoną godłem „Vita somnium breve."

Oświata. Departamenty rady państwa przyjęły projekt ministeryum skarbu, dotyczący technicznych szkół rzemieślniczych, warsztatów i kursów dla robotników obojej płci i wszelkiego wieku. Nauka będzie bezpłatna. Nowe prawo powołuje miasta, towarzystwa, fabryki i osoby prywatne do urządzania kursów.

Wezwanie. Zarząd Towarzystwa „Sarmatia" w Coetten (Anhalt) ogłasza: „Byłych członków obecnie rozwiązanego towarzystwa „Sarmatia" uprasza się o uregulowanie swych długów do d. 15 maja r. b., jeśli nie życzą sobie wymienienia nazwisk publicznie. Należność uprasza się nadsyłać pod adresem: M. Dąbrowski, Schützenstrasse 17, Coetten (Anhalt)."

Prasa. Wydawnictwo gazety *Pridnieprowskij Kraj* zostało zawieszone na 8 miesięcy.

— W Warszawie wychodzić będzie pod redakcyą p. W. Chłopickiego dwutygodnik p. t. *Dziwy życia*, poświęcony badaniom mało znanych zjawisk przyrody z dziedziny psychologii, medyumizmu itp.

Nagrody Nobla, wyznaczone na rok bieżący, wynosić mają po 142,000 koron.

Wpisy. Ministeryum oświaty orzekło, iż uczniowie, przechodzący w ciągu roku z jednego gimnazyum do drugiego, nie płacą powtórnie wpisu szkolnego.

Odczyty. D. 27 b. m. w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa rozpocznie się szereg odczytów p. Atanazego Bardzkiego „O umysłowej pracy kobiet."

Kasy. Władze zatwierdziły ustawy kas pogrzebowych w Łomży i w Lublinie.

Rolnictwo. Pod firmą „Jedność" powstać ma w Warszawie od 1 lipca r. b. biuro krajowych fabryk narzędzi rolniczych, które przyjmować będzie zamówienia oraz dawać objaśnienia, gdzie i po jakiej cenie nabywać można przybory używane w rolnictwie.

— *Warsz. Dn.* donosi, iż zgodnie z projektem, przedstawionym radzie rolniczej w Petersburgu, towarzystwa rolnicze uznane będą za instytucye pożytku ogólno-państwowego i z tego względu korzystać mają z różnych ulg w przesyłaniu korespondencyi, załatwianiu czynności celnych itp. Urzędnicy przy zakładanych przez Towarzystwa rolnicze stacyach doświadczalnych przyznane mają mieć sobie prawa państwowe; na utrzymanie bibliotek, muzeów, wydawanie sprawozdań i t. p. zapewniony ma być kredyt państwowy.

Hakata. Do *N. W. Tageblattu* donoszą z Berlina, że na obiedzie u sekretarza stanu, Richthoffena, cesarz Wilhelm spotkał się z profesorem historyi, dr. Schiemannem, którego nazwisko stało się głośnem przez protest studentów polskich przeciw jego wykładowi historyi. W rozmowie z nim cesarz miał się oświadczyć z całą stanowczością za energiczną polityką antypolską.

Górnictwo. Według doniesienia *Kuryera Sosnowickiego*, naczelnik zachodniego zarządu górniczego wydał rozporządzenie do zakładów górniczych w Suchedniowie, że wszelkie ich czynności zostaną zawieszone z d. 30 kwietnia r. b.

Koleje i komunikacye. Od 1 maja wprowadzona będzie komunikacya bezpośrednia między Warszawą a Odesą.

— Zarząd kolei Nadwiślańskich wydał rozporządzenie, zabraniające zatrzymywania się w drodze na sta

cyach pośrednich osobom, posiadającym bilety jednorazowe komunikacyi podmiejskiej.

— W celu zabezpieczenia pociągów osobowych od pożarów, zarząd kolei Nadwiślańskich zamierza urządzić w nich oświetlenie elektryczne.

— Na kolei podjazdowej, Grójeckiej, wprowadzono znaczne obniżenie biletów abonamentowych, mianowicie na 50 przejazdach potrącane będzie 30%, na 200 — 40, na 300 — 50 i na 600 — 60% rocznie. Przejazd pomiędzy krańcowemi stacyami Warszawa-Góra-Kalwarya kosztować będzie w klasie I-ej 1 rb., w II — 75 kop., w III — 30 kop.

— Wydano pozwolenie na przeprowadzenie kolejki wązkotorowej z Kielc do Buska.

— Władza kolejowa nakazała, ażeby służba i osoby, jadące za biletami bezpłatnymi, ustępowały miejsca w przedziałach wagonowych podróżującym za biletami płatnymi.

— Rząd Australii północnej postanowił przeznaczyć subsydya na urządzenie terminowej komunikacyi z portu Darwina na północnym skraju Australii do portu Artura przez Hong-Kong i Manillę. Komunikacya ta ma być zaprowadzona w 1903 r. Z portu Artura droga szłaby przez kolej Syberyjską i dalej na Moskwę, Warszawę, Berlin, Kolonię do Calais, a stąd do Londynu. Podróż trwałaby z portu Darwina do portu Artura 8 dni, stąd zaś do Londynu 20 dni — razem cztery tygodnie. W r. 1905 ma być ukończona olbrzymia linia kolejowa, łącząca całe południe Australii z portem Darwina, tak że najprostsza komunikacya całej Australii z Azyą i Europą odbywać się będzie drogą powyższą.

Przemysł i handel. Zarządy towarzystw akcyjnych otrzymały nakaz zapisywania w księgach adresów akcyonaryuszów.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnej pomocy rzemieślników i kupców w Piotrkowie.

Fiasko. Studenci niemieccy, którzy zamierzali dawać w Paryżu przedstawienia „Zbójców“ Schillerowskich, urządzają występy gościnne w różnych miejscowościach własnego kraju, wywołując rozczarowanie śród słuchaczów. *Frankf. Ztng* pisze, iż w interesie niemieckiej sztuki dramatycznej dobrze się stało, że projektowana wycieczka do Francyi nie doszła do skutku i radzi burszom zaniechać występów.

Zmarli. Dr. Aleksander Czarnomski, w Opolu, na Górnym Śląsku.

— Prof. dr. Hans Hebra, dermatolog, w Wiedniu.

— Aureuliusz Scholl, dramaturg i powieściopisarz francuski, w Paryżu.

— Juliusz Dalou, słynny rzeźbiarz francuski, w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Kazimierzowi Lewandowskiemu. „Kląb chryzantemów“ — pornografia niesmaczna, bez talentu. Nie dla nas.

P. Marcelemu Sachsowi. Wiersza Pańskiego „Fragment“ drukować nie będziemy. Co zaś do oceny talentu, zdaje się, że na to pytanie bardzo niedawno juześmy Panu odpowiedź dali.

P. Cetnerskiemu z Chiłok. Cena „Zagadnień moralnych“ (ogłaszana stale w *Prawdzie*) kop. 60; za przesłanie książek kop. 55— razem należy się rb. 1 k. 15.

Wyszedł, jako osobna książka, dołączony w dodatku do „Prawdy“ dalszy ciąg wydawnictwa „Wiek XIX,“ p. t.:

Wiek cudów

Alfreda Wallace'a (tłom. z angielskiego).
Cena 90 k., z przesyłką rekom. 1 rb. 10 k.

R. Bettena

Hodowla kwiatów w pokoju

z ilustracyami. Autor, znakomity ogrodnik, sam przeprowadził pokojową hodowlę roślin, praca więc jego jest oparta na doświadczeniach ścisłych. Jest przytem jasna, gruntowna i bogata we wszelkie rady praktyczne zarówno dla miłośników w mieście, jak na wsi.

Cena rb. 1 kop. 50, z presyłką rekomendowaną rb. 1 kop. 70.

Skład główny w Administracyi „Prawdy.“

OGŁOSZENIA.

Do nabycia w handlu księgarskim
L. KRZYWICKIEGO:

SYSTEMATYCZNY KURS

ANTROPOLOGII

Rasy psychiczne: I. Psychologia etniczna, jej przeszłość i stan dzisiejszy. II. Człowiek i otoczenie. III. Właściwości duchowe ludów. IV. Mechanizm przekształcającej się rasy psychicznej. V. Specyalne rasy psychiczne. VI. Rasy psychiczne w stosunku do typów fizyczno-antropologicznych. VII. Historyozofia rasowa. VIII. Ogólne prawa rozwoju psychiki społecznej.

Warszawa 1902. Str. 309, z 16 mapkami. Cena rb. 1 kop. 20.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50** (na wyczerp.)
Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20** (na wyczerp.)
Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**
Tom IV: Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**
Tom V: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 kop. 50.**
Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 kop. 20** (wyczerpany).
Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 kop. 50.**

Do nabycia w Administracyi *Prawdy.*

A. MAKSIMOW:

Syberya i ciężkie roboty

Inni i oskarżeni . . . . 1 rb. 20 kop.
Przestępcy polityczni i państwowi 1 rb. 20 kop.

Z przesyłką rekomendowaną 1 rb. 40 kop.

Skład w administracyi „Prawdy.“

PORADNIK DLA SAMOUKÓW,

wydawany z zapomogi Kasy pomocy naukowej im. Mianowskiego) zawiera **wskazówki do czytania systematycznego** w zakresie wszystkich działów naukowych, począwszy od książek popularnych

CZĘŚĆ I-sza (w wydaniu drugiem. Warszawa, 1901; str. XLII+728, C. 1 rb. Treść: Matematyka, Nauki Przyrodnicze z Psychologią.
CZĘŚĆ II-ga. (Warszawa, 1899; str. XIV+695. Cena kop. 80). Treść: Nauki Filologiczne i Historyczne.
CZĘŚĆ III-cia. (Warszawa, 1900; str. X+446. Cena kop. 80). Treść: Nauki Społeczne, Prawne i Filozoficzne.
CZĘŚĆ IV ta i ostatnia (świeżo wydana).
TREŚĆ: Wstęp (Zestawienie bibliografii naukowej 4 tomów „Poradnika“) Wykaz braków naszego piśmiennictwa naukowego, opr. zbiorowe. — System wykształcenia i wykształcenie ogólne; program wykształcenia ogólnego, opr. L. Krzywicki. — Logika i teorya poznania, opr. A. Mahrburg. — Filozofia i metafizyka, opr. A. Mahrburg. — Pedagogika, opr. S. Karpowicz. — Metodyka, opr. A. Szyc. — Historya pedagogiki, opr. Piotr Chmielowski. — Popularyzacya wiedzy i samouctwo (biblioteki i uniwersytety ludowe). — Dopełnienia do 3-ch pierwszych tomów. — Skorowidz do części III i IV. — Pytania i odpowiedzi. (Warszawa, 1902, str. CXIII+492, z 21 ilustracyami w tekście. Cena 1 rb. 20 kop).

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Wydawnictwa „Prawdy“

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii—rb. 3.
Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka**—rb. 2.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.
Huxley — Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rb. 2.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** — rb. 1.
H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.
N. Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.
K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rb. 3. k. 30.
Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej**, w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.
Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona — rb. 1 kop. 50.
Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rb. 2.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za połowę ceny.
Miguel: **Historya Rewolucyi Francuskiej**, 2 t. — rb. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Апрѣля 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.